ROK II. Nr. 42 (91) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 19 października 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE





STO KONI PAROWYCH I JEDNA KOBIETA. (Fot. Fox).



Jess Smith popełnił samobójstwo. Tak twierdzą przynajmniej w sposób oficjalny.



Inny członek zakonspirowanej „kliki", John King nagle zmarł.



Pułk. T. B. Felder również nagle zmarł podczas pobytu w Savannah.



Podobnie, jak Smith, C. F. Cramer popełnił rzekomo samobójstwo. (Ilustr. z książki Means'a).

Tajemnica śmierci prezydenta Hardinga

Już niejednokrotnie obiecywałem sobie, iż pozostawię Amerykę za Oceanem i przestanę podawać o niej całe szpalty, choćby nawet autorem tych impresyj miał być Paul Morand lub Dekobra.

Lecz trudno oprzeć się pokusie, skoro mogę podzielić się z Czytelnikami tak sensacyjnemi rewelacjami, że blednie wobec nich fantazja Wallace'a.

Rewelacje te zawarte są w 2-ch książkach, z których jedna, wydana została parę lat temu i odsłania tajemnicę romansu b. prezydenta Stanów Zjednoczonych, Warrena Hardinga z niejaką miss Nan Britton („The Presidents Daughter", pióra samej Nan Britton), druga zaś ukazała się przed kilkoma miesiącami i potwierdzając dane, dotyczące prywatnego życia amerykańskiego dostojnika, oświetla tajemnicę wyniesienia go na godność pierwszego obywatela państwa, życie w potrzasku matactw i afer i nagły a zagadkowy zgon („The strange Death of President Harding", spisane ze wspomnień niejakiego G. Means'a).

Wallace'owska historja!...

Wiadomo było dotychczas, iż kandydat stronnictwa republikańskiego, senator Warren Harding, był ongiś skromnym redaktorzyną na prowincji i całą swą karjerę zawdzięczał energji i ambicji małżonki. Kierowała nim, zdobywała dlań z trudem coraz wyższe stanowiska, była jego mózgiem. O jednem tylko nie wiedziała i trudno było podejrzewać o coś podobnego starszego mężczyznę, wychowanego w purytańskich zasadach amerykańskich, nie wiedziała o romansie Warrena Hardinga z młodziutką miss Nan Britton, która przed samemi wyborami powiła córkę. Nie wiedziała również małżonka prezydenta, iż cały ten romans rozgrywa się tuż pod jej bokiem, w Białym Domu, dokąd przychodziła Nan Britton. Nie wiedziała wreszcie i o tem, że tajemnicę tę posiadła pewna „klika" aferzystów, która teroryzując prezydenta załatwiała dzięki jego poparciu szereg ciemnych business'ów i w siedzibie swej przy ulicy 903-16 Street w Waszyngtonie udzielała schronienia zakochanej parze.

Nie wszystko jednak da się ukryć, zwłaszcza jeśli dotyczy to osobistości politycznych. Wkrótce zaczęto przypuszczać otwarte ataki przeciw prezydentowi, otaczając go wraz z „kliką" zausznikówcoraz ciaśniejszą siecią intryg.

Zaalarmowana temi pogróżkami, jak również anonimami o romansie Hardinga, prezydentowa poleciła tajnemu agentowi Depart. Sprawiedliwości, G. Means'owi, przeprowadzić śledztwo.

Pomijając już to, iż G. Means nie był bez winy i że prowadził interesowne konszachty z „kliką" (odsiadywał w następstwie 3-letnią karę więzienia za szmugiel), sam fakt zasługuje na uwagę, iż Departament rządowy przydzielił swego urzędnika na prywatne usługi pani prezydentowej.

W książce swej, obfitującej w masę sensacyjnych szczegółów, G. Means opowiada, iż pani Harding dwukrotnie zwierzała się przed nim z najtajniejszych swych myśli. Oto po raz pierwszy, żądając potwierdzenia pogłosek, krążących o prezydencie, mówiła mu o nienawiści, jaką żywi dla Nan Britton i jej córki oraz o niebezpieczeństwie, grożącem z powodu zażyłości Hardinga z „kliką". Prezydentową zaalarmował zwłaszcza nagły zgon jednego z członków „kliki", Jess Smith'a, którego prawdopodobnie, reszta bandy zgładziła za to, że pragnął wycofać się z niebezpiecznej gry. „Nie dopuszczę do skandalu — oznajmiła dedektywowi — nie pozwolę, aby najmniejszy zarzut zaciążył na honorze prezydenta. Bodajby nawet miał przypłacić to życiem"...

Wkrótce po tem widzeniu małżonkowie wyjechali ze stolicy. Prezydent odznaczający się mimo wieku niezmiernie silnym organizmem, zasłabł w czasie podróży i nagle zmarł.

Po powrocie swym do Waszyngtonu pani Harding wezwała do siebie Means'a i zasięgnęła u niego rady w sprawie, która, oczywista, nie dawała jej spokoju. Opowiedziała mu, że czytając wszystkie listy adresowane do małżonka, zdawała sobie sprawę z coraz groźniejszych ostrzeżeń o możliwości rewelacyj. Niczego nie żałuje..." Oto pewnego dnia została z nim sam na sam. Podała mu lekarstwo. Wypił. Zamknął oczy, po chwili otworzył je, długo popatrzył na nią i odwrócił się ku ścianie... Jakby domyślił się... W parę minut później — nie żył. Czy nie zarządzą jeszcze ekshumacji, czy wszyscy są przekonani, że prezydent umarł naturalną śmiercią?..." Oto wątpliwości, z których zwierzała się przed Means'em, poczem zakończyła rozmowę oświadczeniem: „Warren Harding umarł — bez skazy na honorze. Jedna, jedyna doba więcej, a byłoby może zapóźno. Nie zdradziłam ani kraju, ani stronnictwa, któremu mąż mój był tak wiernie oddany. Niczego nie żałuję. Spełniłam, co było przeznaczone".

Chyba aż nazbyt wyraźnie. Co należy o tem myśleć? Czy rewelacje Means'a zasługują na wiarę?...

Dodamy kilka szczegółów na zakończenie tej tajemniczej sprawy — a więc przedewszystkiem to, iż trzej pozostali członkowie „kliki" zmarli w niemniej zagadkowy sposób, pozatem fakt, iż książka Means'a, która została opublikowana w setkach tysięcy egzemplarzy, ukazała się w druku w rok przed nowemi wyborami amerykańskiemi.

Co do autentyczności zwierzeń Miss Nan Britton nie możemy mieć żadnych wątpliwości. Spisane zostały przez kobietę kochającą — a że stały się rewelacją, nie należy winić matki nieślubnie poczętej Elizabeth Ann, która nie mając innych źródeł utrzymania dla swego dziecięcia, postanowiła puścić „intratną bombę".

Co do Means'a — mój Boże — prawda, czy przesada, a jednak fakt, że nikt nie zadał mu kłamu, jemu, pionkowi w organizacji amerykańskiego „Intelligence'u", że pozwolono mu wydać jego książkę — smutnie świadczy o korupcji, która nagminnie panuje nawet w tak idealnym kraju jak Stany Zjednoczone.

Politics first...

Er.



Nan Britton, autorka książki p. t. „The President's Daughter", w której opisuje historję swego romansu z Prezydentem Hardingiem.



Warren Harding, b. prezydent Stanów Zjednoczonych, o którego tajemniczym zgonie opowiedziano w książce G. Means'a p. t. „The Strange Death of President Harding".



W dn. 25 i 26 b. m. obchodzić będziemy 25-lecie walki o szkołę polską. Lecz jeśli dziś, w niepodległej Ojczyźnie szkoła polska cieszy się, oczywista, pełnią praw obywatelskich, sprawa ta gorzej się przedstawia poza granicami kraju, gdzie miljony naszych rodaków skazanych jest na wynarodowienie. O nich winniśmy pamiętać, zasilić groszem ofiarne poczynania miejscowych społeczeństw. W tym celu waśnie kwestarze wylegną w dn. 25 i 25 b. m. na ulice. Ilustracja nasza przedstawia Dom Ludowy w Frysztacie, zbudowany kosztem miejscowej ludności polskiej.



W popularnej „Ziemiance" odbył się wernisaż II-ej tablicy karykatur naszego współpracownika Jotesa, którego tu widzimy w otoczeniu publicysty francuskiego Oudart'a, oraz artystów Dymszy z małżonką i p. Ślaskiej.



Wskutek burzliwych wystąpień komunistów w Hiszpanji patrjoci wystąpili z akcją. Na ilustracji — don Jose Primo de Rivera na mównicy.



W południowej Ameryce pożoga rewolucji ogarnęła cały kontynent (patrz art. na str. 4-ej). Oto jak jeździ w tych ognistych krajach mąż stanu.





Siostra króla bułgarskiego, ks. Eudoksja zaręczona została z ks. de Spoletto.



Następca tronu hiszpańskiego J. K. M. ks. Asturji zaręczył się z ks. Esperanzą de Bourbon.



Mieszkańcy stolicy Peru wylegli tłumnie na ulice miasta, manifestując na cześć pułk. Sanchez Cerro.

W kotle południowo amerykańskich rewolucyj

W południowej Ameryce kipi jak w garnku... Dziś rewolucja w tem mieście, jutro w innem. Cała banda prezydentów i wodzów... Kto, kogo, kiedy i jak — nie zdoła opisać nawet telegraf iskrowy. To też o wyrozumiałość prosimy naszych Czytelników, jeśliby jakaś fotografja lub dane z artykułu okazały się nieaktualne.

Południowa część wielkiego amerykańskiego kontynentu ciągle wre i kipi. Coś nakształt naszego „bałkańskiego kotła". — Rewolucje, rewolucyjki — to chleb powszedni, do którego zdążono się już przyzwyczaić. Tchnie to nawet egzotycznym czarem i świadczy o bujnym, południowym temperamencie. A przy bliższem zetknięciu się z życiem tamtejszem nie przedstawia się to bynajmniej tak bardzo ponętnie.



B. prezydent argentyński Irigoyen, który musiał salwować się ucieczką przed „wolą narodu".

Południowa część wielkiego amerykańskiego kontynentu jest jeszcze dotychczas dla Europejczyka w gruncie rzeczy „terra incognita". Cóż bowiem o tem wiemy? Od czasu do czasu pozatem donoszą o wybuchu jakiejś rewolucji — to w jednej, to w drugiej republice. Oto ·ak się przedstawia bilans wiadomości przeciętnego Europejczyka o Ameryce Południowej.

Sprawa natomiast nie wyczerpuje się wybuchem i likwidacją kolejnych rewolucyjek. Przyczyny są głębsze i szukać ich należy gdzieindziej.

Amerykański kontynent rozbity jest na dwa bloki. Na północy rozsiadły się wielkie i potężne Stany Zjednoczone, scentralizowane, mimo pozorów federacji, uprzemysłowione, imperjalistyczne — na południu zaś grupa państw i państewek, gospodarczo zamożnych, ale politycznie nieskonsolidowanych.



Nowy minister spraw zagranicznych rządu peruwiańskiego, pułk. E. Montague, składa przysięgę w obecności pułk. Sancheza Cerro.

Rolnicze, plantacyjne Południe, ongiś baza handlu niewolnikami, musiało skapitulować przed supremacją przemysłową i organizacją gospodarczą Północy. I odtąd konsekwentnie, nieubłaganie posuwa się ekspansja gospodarcza Stanów w kierunku centrum i południa. Oto w pierwszym rzędzie przez stworzenie operetkowej republiki panamskiej, właściwej filji Washingtonu, zdobyły Stany prawo kontroli nad kanałem panamskim i dzierżą klucz do Ameryki Południowej. Z Panamy mogą Yankesi dyktować warunki całemu lądowi tak, jak to czyni Wielka Brytanja z Egiptem, mając w ręku Sudan. Ostatnie odruchy buntu minjaturowej Nikaragui bezlitośnie zdławił Washington pod pozorem ochrony interesów północno-amerykańskich obywateli.



W Brazylji krwawe zaburzenia ogarnęły cały kraj. Na fotografji zwłoki zamordowanego w kawiarni gubernatora Paharyby, drą Joana de Albuquerque Pesson.

Narodowa amerykańska zasada głosi, że pomyślność gospodarcza zależy od pojemności rynku wewnętrznego. Pojęcie to jest bardzo elastyczne — w Stanach zaś, elastyczniejsze, niż gdzieindziej... Bo oto Yankesi rzekli: rynek wewnętrzny, to także Ameryka Południowa! I w rezultacie tej swoistej interpretacji cała Ameryka Południowa stanowi domenę gospodarczą Stanów.

Inwazja amerykańskiego kapitału w Ameryce Łacińskiej posuwała się koncentrycznie dwoma szlakami — z zachodu, brzegiem oceanu Wielkiego i od wschodu, brzegiem Atlantyku. Tym sposobem zarówno Peru, jak i Brazylja, a także bogata i żyzna Argentyna, zostały wciągnięte w orbitę ekspansji Yankesów. Operując wszakże demokratycznym frazesem, nie odważyły się zlikwidować politycznej niezawisłości Ameryki Łacińskiej. Zostawiły więc kilkunastu państewkom dotychczasową formę polityczną samodzielności, ale w gruncie rzeczy cała południowa połać wielkiego lądu amerykańskiego— to tylko kolonja gospodarcza Stanów.

Rzecz jasna, że południowo-amerykańskie państwa

niejednokrotnie usiłowały zrzucić znienawidzoną supremację U. S. A., Północne krążowniki jednak urządzały wówczas maleńką demonstrację na wodach obu oceanów i znów „spokój“ panował na Pacyfiku. Zdarzało się oczywiście, że jedną, drugą rebelję topiono w strugach krwi, ale naogół pod osłoną luf armatnich surowce spokojnie w dalszym ciągu zalewały południowe rynki, zaś amerykański dolar wciskał się coraz dalej w głąb południowego lądu. Tym sposobem, na gruncie dostatecznie zroszonym krwią południowych partyzantów, na mocnych przyciesiach ze stalowych bagnetów rosła i panoszyła się przysłowiowa amerykańska „prosperity“.



Miejsce wygnanego prezydenta Argentyny Irrigoyena zajął generał Uriburu (X), którego widzimy wraz z członkami rządu po galowym obiedzie w pałacu prezydenta. Zauważyć należy pełne uzbrojenie, którego ludzie, stojący obecnie u steru rządu nie opuszczają ani na chwilę w słusznej obawie, że i w najbliższem otoczeniu może grozić niebezpieczeństwo.

*
* *

Pierwsza raca rebelji wystrzeliła w Peru. Z punktu widzenia historycznej perspektywy jest to szczegół małoważny. Równie dobrze mógłby zacząć Paragwaj, względnie Wenezuela. Prawie równocześnie płomienie rewolucji objęły Argentynę i Brazylję.

W amerykańskim kotle zawrzało. Gdzie szukać przyczyny? Jak i zawsze w sytuacji ekonomicznej. Katastrofalny spadek cen godzi w południowo amerykański dobrobyt. Nieustająca ekspansja fabrykatów powiększa jeszcze i pogłębia ów kryzys. Póki masy żyły w bezwzględnym dobrobycie, znoszono, choć niezawsze bez szemrania, nieproszoną, amerykańską kuratelę — ale kiedy kryzys dał się we znaki — pękły tamy. Zrewoltowany tłum podniósł żagiew rewolucji. Mniejsza o nazwę. Walka Cancheza Cerro *z dyktaturą Legui jest w gruncie rzeczy protestem ludu przeciw ekspansji Yankesów i popieraniu tej inwazji przez północno-amerykańską kreaturę na stolcu prezydenta.* Augusto Leguia był tylko pionkiem w tych rewolucyjnych bojach uciemiężonych ludów z północnym imperjalizmem. Pułkownik Sanchez Cerro jest symbolem rewolucyjnej tężyzny i ludowego gniewu. Blisko 20-letnia dyktatura Legui opierała się na milczącem uznaniu Washingtonu i biernem wyczekiwaniu mas, gnębionych śrubą podatkową. Niezmiernie symptomatyczną jest rezolucja delegacji robotników i studentów, domagająca się od rewolucyjnego rządu ostrych zarządzeń przeciw „zagranicznemu“ kapitałowi. Rezolucja ta jest niejako psychologicznem uzasadnieniem rewolty.

Że jest to wspólnym wykładnikiem dla wszystkich ruchów rewolucyjnych w Ameryce Południowej — dowodem — wrzenie w Argentynie! Strajk kilku tysięcy pracowników telefonicznych w Buenos-Aires nie dawał jeszcze dostatecznego powodu do zarządzenia stanu wyjątkowego na ulicach miasta i do ściągnięcia całej floty wojennej do portu. Argentyna, mając również dosyć północno-amerykańskiej kurateli, obaliła jej zausznika, a swego prezydenta Irrigoyena.

Ostatnie wiadomości z terenów, objętych rewolucyjną pożogą, są groźne. Płomienie ogarnęły Brazylję, gdzie rebelizanci wypowiedzieli posłuszeństwo rządowi związkowemu, a jednocześnie ogień rewolucji przerzucił się na Kubę, gdzie również nastąpiła zmiana rządu. Wprawdzie z Panamy na Kubę niedaleko i w mocy Stanów jest zbombardować buntowniczą wyspę, ale jest to groźne ostrzeżenie dla Stanów, że rewolty nie da się już zlokalizować, gdyż geograficznie Kuba leży już w Ameryce Centralnej.

Paweł Agizim.

CODZIEŃ
MYDŁO
Favorit



to najlepszy sposób do osiągnięcia delikatnej i czystej cery.

Favorit

Czyste, łagodne, pieni się delikatnie i obficie.

TANIE MYDŁO LUKSUSOWE



Osławiona aferzystka francuska Marta Hanau zrobiła układ ze swymi wierzycielami i otrzymała nawet 5-miljonową pożyczkę celem uruchomienia banku.



Mistrz kasiarski Cichocki („Szpicbródka") uciekł z więzienia w Częstochowie.

Cesarscy goście w Gdyni

(C) Gdynia, która w tym roku gościła już szereg wybitnych mężów stanu, tym razem miała zaszczyt gościć prawdziwego księcia krwi — rodzonego brata władcy Japonji — Jej Cesarską Wysokość ks. Takamatsu.

Kiedy w niedzielę, 12 października, o g. 9 rano, pociąg, wiozący Księcia wraz z Małżonką i świtą, zajechał na dworzec, rozległy się dźwięki Japońskiego Hymnu. Kompanja honorowa Marynarki Wojennej — chłop w chłopa na schwał sprezentowała broń. Dowódca Floty, komandor Unrug, z wrodzoną kurtuazją powitał dostojnych gości, podczas gdy jego małżonka wręczyła Księżnej bukiet pięknego kwiecia.

Witany przez władze wojskowe, portowe i municypalne, Książę przeszedł przed frontem kompanji, odebrał raport, poczem udał się do pokoi przygotowanych w Domu Zdrojowym.



J. C. M. Ks. Takamatsu.

A tymczasem na molo pasażerskie przybył O. R. P. Krakowiak, ścigły, szaro-błękitny torpedowiec, pod dowództwem kapitana Gebethnera. Załoga ustawiła się wzdłuż burty, rzucono trap i punktualnie o jedenastej — Książę z trzema oficerami swej świty, wszedł na pokład, wśród okrzyków „Banzaj" zebranej na pomoście publiczności.

Wnet też udał się na mostek, skąd cały czas uważnie śledził postęp robót w porcie, pracę olbrzymich wywrotnic i dźwigów, ruch okrętów. Sam — marynarz, zadawał krótkie rzeczowe pytania, na które odpowiadali kmdr. Unrug, dyr. Poznański i dyr. Rummel. Zwiedzono także chłodnię i szereg urządzeń portowych.

O 13.15 „Krakowiak" wszedł do portu wojennego na Oksywju, witany salwą 21 strzałów z O.R.P. „Bałtyk", na maszcie którego trzepotała japońska bandera. Zebrane wzdłuż burty okrętów załogi, oddały przepisowe honory. Następnie samochodami przewieziono gości do kasyna.

W salonach Dowództwa Floty odbyło się małe „cercle", poczem przy wielkim, w podkowę ustawionym stole, zasiedli do śniadania: Ich Cesarskie Wysokoście Księstwo Takamatsu, marszałek dworu komandor Yamagata, bohater z pod Cuszimy, wybitny marynarz i dyplomata, dalej ochmistrz Ishikawa, adjutant Księcia kpt. freg. Midzuno, dr. Sakamoto, mjr. Hata, attaché wojskowy, radca Hirata i dama dworu pani Otchiai. — a z gospodarzy Komisarz Generalny Rzplitej w Gdańsku min. Strassburger, d-ra floty kmdr. Unrug z małżonką, dyr. Poznański z małżonką, dyr. Rummel oraz wybitniejsi z pośród oficerów marynarki wojennej.

W miłym nastroju śniadanie przeciągnęło się do trzeciej, poczem motorówkami udano się na stojący na redzie O.R.P. „Wicher". Piękny nowoczesny kontrtorpedowiec wzbudził zainteresowanie Księcia.

Po krótkim pobycie na lądzie Księstwo powrócili na dworzec i przy dźwiękach Hymnu Japońskiego odjechali do Gdańska. Biegły za Niemi życzenia szczęśliwej podróży wszystkich tych, których serca zdołali sobie w czasie krótkiego pobytu w Polsce już pozyskać.

Hallo!!!

Za kilka miesięcy zatryumfuje nowe dzieło Marconiego Najpotężniejsza Radjowa Stacja — olbrzym pod Warszawą mocy 120 Kw.



PRAWDZIWĄ OZDOBĄ MIESZKANIA JEST

4-o lampowy odbiornik MARCONIEGO do sieci oświetleniowej lub do akumulatora i baterji, w połączeniu ze ZNAKOMITYM

4-o biegunowym, luksusowym, głośnikiem MARCONIVOX S II.

POLSKIE ZAKŁADY MARCONI S. A.

WARSZAWA, NARBUTTA 29

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH FIRMACH RADJOTECHNICZNYCH

O pani wytwornej

Każda epoka ma swój ideał pani wytwornej, Pani przez wielkie P. Dla średniowiecznego rycerza była nią „la belle dame sans mercy", pani piękna i niełaskawa, czyli poprostu cnotliwa. O takich damach śpiewali trubadurzy-marzyciele, a praktyczni mężowie niezbyt widać ufali tym rymowanym pochwałom, skoro dla większej pewności woleli, jadąc w bój, zostawiać w domu cnotę żony zamkniętą na kłódkę (dosłownie). Pudrowana markiza nie lubiła chlubić się cnotą (miała we wszystkiem dobry gust); była przyjaciółką i protektorką poetów, malarzy i uczonych, a niekiedy nawet ich kochanką. Rozstrzygała najzawilsze dylematy życiowe i matematyczne w sposób jej tylko właściwy, lekki i dowcipny. Wdzięczny uśmiech nie schodził z jej malowanych usteczek, ani wtedy gdy zstępowała po marmurowych stopniach królewskiego pałacu w Wersalu, ani gdy wchodziła na rusztowanie gilotyny.

Rewolucja zniszczyła kunsztowny świat muszek i zabiła wielką damę. W miarę ustalania w świecie nowego ładu i burżuazyjnego porządku, miejsce dawnej damy zajęła „kobieta z towarzystwa". Pisał o niej obszernie i szczegółowo Balzac, lecz mimo najlepszej woli nie bardzo podobała mu się „dama".

Bo ostatecznie cała, ta „kobieta z towarzystwa" była to zmanierowana gęś, usiłująca zastąpić wrodzoną rasę, na której jej zbywało, kunsztowną nadbudową formułek towarzyskich, przesądów, zastrzeżeń i tym podobnych obrzydliwości.

*

Protestem, przeciwko „kobiecie z towarzystwa", była emancypantka, szlachetne czupiradło, które, gwałtem i naprzekór wszystkim, pragnęło zostać „człowiekiem", a potrafiło jedynie stać się karykaturą gorszej połowy rodzaju ludzkiego — mężczyzny.

Kobieta powojenna, równouprawniona przez kataklizm dziejowy, dziedziczy po wszystkich swoich babkach i prapraprababkach. Ma w czem wybierać. Nieugięta cnota kasztelanki, wytworna lekkomyślność markizy, mieszczańska minoderja „kobiety z towarzystwa", nieprzejednanie bojowniczki o prawa kobiet — wszystko to zostało nam przekazane przez literaturę i ustną tradycję rodzinną. Embarras de richesses.

Ale nie po to, miły Boże, wyszło się zdrowo i cało z wojny, i nie po to się zdobyło nareszcie równe z mężczyznami prawa, aby się zaplątać w czczych formułkach, jak ongi w fałdach sutego trenu.

— Jaką ma być współczesna pani wytworna?

— Ależ taką, jaką jest. Taką, jaką jej życie zrobiło. Zrana — kolega w sportowej sukience. Sumienny towarzysz pracy, doskonały partner sportów, nieoceniony kompan w podróży. Wieczorem — księżniczka w bajkowych szatach, wyczarowanych przez wielkich czarnoksiężników, augurów mody. Szaty te mogą być długie lub krótkie, zależnie od ostatnich nakazów Pani; może to wpłynąć na sylwetkę pięknej pani, nigdy na jej treść wewnętrzną. W długich czy krótkich sukniach, kobieta współczesna jest sobą, istotą niezależną od kaprysów dawnego pana i władcy.

— Czy znaczy to, że już mu się nie stara podobać?

— Bynajmniej. Przeciwnie, nigdy może sztuka podobania się nie była posunięta tak daleko, nigdy nie miała zawilszych arkanów.



Jakimś egzotycznym czarem tchnie ta roześmiana główka — żywe potwierdzenie znanego przysłowia „Kobieta dopiero wtedy staje się aniołem, gdy jej... djabeł strzeli do głowy". Wł. Kamper. (Do turnieju „7 dni": Ina Benita z Morskiego Oka).

Najlepsze, najbardziej kuszące perfumy, najczarowniejsze pajęcze, tęczowe dessous, kosmetyka doprowadzona do najdalszych granic doskonałości, toalety obmyślane z pedantyczną ścisłością wykresów architektonicznych tylko że nie jest to już kwestją życia i śmierci.

— Więc poco? — Dla sportu. Dla najciekawszego ze sportów, jakim jest flirt — zabawa w miłość. Dla podtrzymania w sobie samej rozkoszy świadomości własnego uroku i wiecznie trwałej młodości.

Ale żadnych tragedji. Fe! To szpeci i postarza. Kto mówi o złamanem życiu, kiedy można się wystarać o rozwód i zacząć nowe życie! I tak po raz drugi, trzeci, czwarty... aż do skutku. Aż się naprawdę dobrze trafi, albo aż się człowiekowi — odechce małżeństw i rozwodów.

Czyż jest na świecie mężczyzna godny tego, żeby z jego powodu psuć sobie oczy i cerę bezsennością i łzami? Śmiem twierdzić, że nie.

— Za mężczyzną i tramwajem nigdy nie warto gonić; lepiej zaczekać aż nadejdzie drugi— tak powiada współczesna pani wytworna, pudrując zgrabny nosek. Ma rację. Trudno o coś mniej wytwornego niż kobieta zadyszana, a goniąc zawsze można się zadyszeć. Pani wytworna jest zawsze pogodna i wesoła, nic nie bierze zbyt poważnie, niczem się zbytnio nie przejmuje. Bierze życie łatwo, dlatego też i innym łatwo się z nią żyje.

Hipochondrycy i malkontenci, od czasu do czasu wzdychają do dawnych „kobiet z towarzystwa", które podobno były „wartościowsze". Wartość ich polegała głównie na tem, że jak się uczepiły jakiego mężczyzny to już niepofolgowały przez całe życie, a jak się rozspazmowały, to nie przestawały conajmniej miesiąc.

Tym, co do tych „wartościowych" kobiet tęsknią, życzę, aby sami takie na drodze swej spotykali i aby im lekkie były.

Ja tam wolę współczesną panią wytworną, nie przytłaczającą otoczenia nadmiarem zalet i pełną sympatycznych ludzkich wad.

Well.





NOWOCZESNE ŻYRANDOLE
ample, lampy biurowe gabinetowe do wystaw sklepowych

najtaniej dzięki masowej produkcji polecają

Bracia BORKOWSCY

ZAKŁADY ELEKTROTECHNICZNE SP. AKC.

WARSZAWA JEROZOLIMSKA 6

ELEKTRYCZNE ŻELAZKA
czajniki, kuchenki, nagrzewacze do karbówek, poduszki elektr. (kompres)

Zbiegowie zgubili pościg po przekroczeniu kamienistego dna bystrej, górskiej rzeki. Omijając osady, stanice i miasta, szli — głównie nocami — starając się dostać na szlak, prowadzący od stacji Niewinnomyskiej w głąb gór, zwany drogą wojenno-suchumską. Trzeciego dnia po ucieczce, między linją kolejową a Urupskiem, doszło do poważniejszej walki z napotkaną strażą sowiecką, która konwojowała zakładników i bagaże, wiezione w jukach. W walce tej zginęło bez wieści trzech czekistów, którzy znajdowali się wśród więźniów, oraz został zabity inicjator rozruchu i ucieczki z wagonu aresztanckiego na stacji w Armawirze — rewolucjonista Sidorow. Była to strata wielka dla pozostałych dwudziestu trzech zbiegów, nie znających terenu i nie mających dokładnego pojęcia o tem, gdzie się udać i dlaczego wogóle uciekli. Stosunkowo lekką karę osiedlenia w Kazakstanie zamienili teraz poprostu na perspektywę kary śmierci, w razie pojmania ich przez czerwonych. Trzech czekistów posądzano o to, że odłączyli się umyślnie i wrócili do swoich, żeby oskarżyć resztę zbiegów i wskazać kierunek pościgowi.

Po rozprawieniu się z napotkanym konwojem wszyscy już zbiegowie posiadali karabiny, amunicję i rewolwery. W jukach znaleziono sporo żywności, trochę złota i srebra. Prócz tego kilku rannych zbiegów zaopatrzyło się w wierzchowce, niskorosłe, ale wytrzymałe konie, hodowane w dolinach Tuberdy i Kubani. Zaremba, jako kulejący, jechał również konno, zwykle rozpoznając drogę. Przeznaczono mu tę rolę, uważając, że do niej ostatecznie może się wdrożyć, gdyż wogóle nie miano wysokiego pojęcia o jego sile i brawurze. Przyczyniła się do tego niezwykła bierność i apatja, okazane przez Zarembę w krytycznych chwilach. W pamiętnej scenie na stacji w Armawirze uczestniczył tylko jako świadek. Siedział spokojnie, nie wyjmując z ust papierosa, kiedy padli na podłogę wagonu dwaj dozorcy, którym rozbito czaszki uderzeniami żelaznych prętów, wyłamanych z okratowania okien. Nie sięgnął



Angielski minister lotnictwa, Lord Thompson, i konstruktor płk. Richmond, którzy znaleźli śmierć na sterowcu R. 101, na parę minut przed startem.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

Legitymacja żołnierza

Niejeden z nas przeżywa istny dramat w wyśnionej Ojczyźnie, której wolność pokolenia całe, a zwłaszcza ostatnie, zdobywały, nie szczędząc żadnych ofiar. Rozpacz, zwątpienie ustąpiły miejsce entuzjazmowi, dzięki któremu zdobywaliśmy się na cuda... Podajemy poniżej fragment powieści Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza, mającej się niebawem ukazać p. t. „Dramat w Ojczyźnie", która porusza właśnie te bolesne zagadnienia i niewątpliwie obudzi wielkie zainteresowanie w naszem społeczeństwie.

po broń, znalezioną przy zabitych. Nie wypadł za innymi na tory kolejowe, nie strzelał, nie mordował, nie uciekał. Posunął się jeno trochę na swojej ławie, aby znaleźć schronienie za żelaznym piecem, gdy przez wnętrze wagonu zaczęły gwizdać kule, przebijając na wylot ściany i sypiąc drzazgami.

Gdzie miał uciekać teraz, kiedy posiadał świadomość, że nie skusiła go Ojczyzna, odległa o miedzę, czarująca w tęsknotach i marzeniach, a grożąca najboleśniejszem rozczarowaniem młodzieńcowi, który powierzył jej swoje serce? Podczas strzelaniny, która się wywiązała, z zazdrością dumał o towarzyszach swego losu, widocznie mających cel w ucieczce.

Jednakże odegrał ważną rolę w powodzeniu tej ryzykownej i niebezpiecznej awantury. W pewnej chwili sytuacja zawisła na włosku. Ze stacji zaczął strzelać karabin maszynowy. Zbiegom nie udało się przemknąć ani w stronę budynków kolejowych, ani w kierunku torów zapasowych, gdzie obiecywały schronienie setki stojących wagonów. Wielka liczba żołnierzy i cywilnych osób, zgromadzonych na tym wielkim dworcu kolejowym, wzięła udział w polowaniu na aresztantów. Pierwsi wrócili do wagonu trzej czekiści i w popłochu padli na podłogę. Następnie wracali i inni, ostrzeliwując się. Niektórzy byli ranni, kilku zaopatrzyło się w zdobyte karabiny. Nie było — napozór już nadziei wydostania się z matni. Na otwartą przestrzeń, naprzeciwko dworca, nikt nie mógł przejść bez groźby zastrzelenia, a z za wszystkich budynków, wagonów i nasypów strzelali żołnierze, posuwając się w stronę pociągu, z którego chcieli uciec aresztanci.

Wtedy Zaremba, zniecierpliwiony chaotyczną i beznadziejną obroną, prowadzoną, tak samo jak i cały zamach na dozorców — bez przewodniej myśli, krzyknął:

— Hej wy — odczepić się od reszty pociągu i uciekać za parowozem!

Myśl tę wykonał szczęśliwie Sidorow z kilkoma innymi. Parowóz, pchnięty niewprawną ręką, gwałtownie szarpnął i wśród piekielnego trzasku karabinowych strzałów potoczył się wraz z wagonem aresztantów ku dalekim zwrotnicom. Więźniowie, oblepiający stopnie i platformy wagonu i lokomotywy, strzelali na wszystkie strony, spadali na szyny, krzyczeli i klęli. Pędząc na oślep, wydostali się wreszcie szczęśliwie na wolny tor, coraz dalsi od piekielnej kanonady.

Nie mogli jednak długo uciekać w ten sposób. Zatrzymali się po kilkunastu kilometrach ucieczki, na moście przez rzekę Urup. Tam złożyli zabitych, wzięli na ramiona rannych i zagłębili się w zarośla i lasy nadrzeczne, uprzednio puściwszy całym pędem swój opuszczony mały pociąg — z powrotem do Armawiru. W ten sposób chronili się na pewien czas przed pościgiem od strony linji kolejowej, biegnącej równolegle do ich drogi, a przytem mieli na pociechę złośliwą świadomość efektu, wywołanego przez wpadającą na dworzec armawirski rozpędzoną żelazną maszynę.

Zagłębiali się teraz w kraj dziki, poszarpany przez naturę w kapryśne linje i zygzaki wąwozów, bryły coraz większych gór, wklęsłe obszary pól i łąk, a gdzieś daleko i wysoko — na horyzoncie — ukoronowany widmem biało-błękitnych śnieżnych szczytów. Nie wiedzieli, jakie znajdą przyjęcie u kozaków podgórskich i u górali. I jedni i drudzy walczyli doniedawna z bolszewikami, ale pozatem nieustannie, tradycyjnie od stu lat — bili się i z sobą. W jednej ze stanic próbowano zasięgnąć języka. Ale ludzie, wysłani na zwiady, wrócili z wieścią niedobrą. Kozacy ani słyszeć nie chcieli nie tylko o udzieleniu pomocy, ale nawet o sprzedaniu żywności. Poradzili wysłannikom iść z powrotem i nie zjawiać się — gdyż zostaną zatrzymani. Nie można było dziwić się kozakom, ujętym po powstaniach i poparciu, jakiego udzielili białym dowódcom, w żelazne karby nowego ustroju. W każdem osiedlu był przynajmniej jeden komunista, ze swoich, wiedzący wszystko o sąsiadach i o każdem zdarzeniu w okolicy. Tak więc, z tej strony nie mogła nadejść pomoc. Rozdzielenie się i powrót do miast były możliwe dopiero po zdobyciu jakichś papierów i to po pewnym czasie. Posuwanie się dalej wielką grupą zwracało uwagę i utrudniało żywienie się. Dlatego też coraz to ktoś, ze zbiegów ubywał, postanawiając działać na własną rękę. Jedni zdecydowali się na zawierzenie kozakom, inni poszli w stronę Mineralnych Wód, zamierzając tam zniknąć w wielkim tłumie podróżnych i próbować ucieczki koleją, jeszcze inni pragnęli oddalić się jaknajbardziej od miejsca walki i przedostać się na wybrzeże Czarnego morza, do wielkich, ludnych portów.

Kilku z tych ostatnich obrało dlatego drogę najtrudniejszą, ale i najmniej niebezpieczną — przez wysokie przełęcze Kaukazu. Mieli oni zamiar przebrnąć żmudnie, ledwie



Szef lotnictwa cywilnego w Anglji, sir Seftona Brancker, padł ofiarą wypadku sterowca R. 101, jest poważną stratą dla Anglji.

znacznemi górskiemi ścieżkami, lub trzymając się łożysk górskich potoków, do przełęczy Głuchorskiej, a następnie, nie schodząc z przedgórzy, posuwać się w odległości kilkudziesięciu kilometrów od morskiego wybrzeża — na południe posterunków tureckich. Zaremba poszedł z nimi.

Jednakże Zaremba nie zdążył poznać lepiej swoich kompanów, gdy znów został sam. Katastrofy z początku nic nie wróżyło. Zbiegowie odwiedzali pasterzy górskich i wstępowali do sakl górskich, przyjmowani chłodno i milcząco, ale i nie wrogo. Udzielano im na migi i w gardłowych gwarach wskazówek co do kierunku, sprzedawano ser i placki chlebowe na drogę, a za żywność, spożywaną na miejscu, nie brano zapłaty. Rzadko widziani mężczyźni, często uzbrojeni i konni, zwykle ginęli z oczu, zanim dochodziło do spotkania. Ale pewnego dnia, gdy Zaremba zjeżdżał stromą ścieżyną w dolinę, z za skalistego grzbietu błysnął nagle blask strzału i jeździec uniknął z trudem upadku. Musiał zaraz zejść z rannego i kulejącego wierzchowca i stał, trzymając wodze w ręku, nadaremnie usiłując dostrzec napastników. Słońce czerwono zachodziło i ślepiło oczy. Towarzysze Zaremby położyli się za głazami i od czasu do czasu strzelali przed siebie. Nie była to bezładna i gwałtowna kanonada współczesnej potyczki, wyczerpującej masę amunicji. I napastnicy, zajmujący dogodniejsze i wyższe zbocze skaliste, i broniący się zbiegowie — strzelali, celując starannie i dokładnie.

Zaremba nie strzelał. Na razie chronił go koń, ale, uderzony raptem przez następną celną kulę, ciężko zwalił się na kamienie. Wtedy Zaremba wyrwał z ubrania strzęp jasnej podszewki i, powiewając tym symbolem pojednawczości, ruszył w stronę napastników. Strzały umilkły. Po kilku minutach Zaremba znalazł się wśród kilkunastu dobrze uzbrojonych górali, którzy biegli do niego, celując z krótkich karabinków i rewolwerów.

— Ty kto? — ty kto? — wołali w podnieceniu.

Cała grupa stała wśród krzaków czerwonego berberysu. Sytuacja nastręczała myśli o nieuniknionej bliskiej śmierci. Mężczyźni trzymali palce na kolbach rewolwerów i zadawali pytania, nie patrząc jeńcowi w oczy. Nie zastrzelony w pierwszej chwili, miał teraz Zaremba dostarczyć pierwszego lepszego pretekstu — i paść od kuli wśród czerwonych krzewów. Przełamując pogardę śmierci i ambicję, zbieg zaczął mówić. Nie było sensu ginąć tutaj — przez głupie nieporozumienie. Ci ludzie nie mogli być jego wrogami. Czuł do nich przeciwnie — gorącą sympatję. Próbował więc wyjaśnić, że jest oficerem polskim i zbiegiem z sowieckiego więzienia, że nie ma żadnego celu walczyć z kimkolwiek. Nie mógł jednak zauważyć, że mówi do słuchaczów bardzo nieuważnych, niemal głuchych, mających z góry powziętą decyzję. Zniecierpliwił się tedy, zniechęcił i umilkł, przyglądając się po kolei góralom. Tylko jeden z nich zainteresował się Zarembą i nie spuszczał go z oczu. Inni pomówili krótko, obojętnie i prawie jednocześnie podczas tej rozmowy spojrzeli na broń, odebraną od Zaremby. Był uzbrojonym intruzem z Rosji — to wystarczało. Nastało kłopotliwe milczenie.

— Wygląda zupełnie na to, że za chwilę ktoś z nich zdecyduje się... — pomyślał Zaremba.

— No, proszę waszmościów, kto ma ochotę — powiedział z humorem i uśmiechem po polsku.

Popatrzyli na niego podejrzliwie.

— No — jazda — mam tego dość — mówił dalej Zaremba — wszystko mi jedno, czy mnie rozumiecie.

Wskazał palcem jeden z rewolwerów i własne czoło. Górale uśmiechnęli się jakby z zażenowaniem.

— Ty — ruski? — tknął Zarembę w pierś jeden z nich. Oficer zaprzeczył ruchem głowy.

— Komunist — kozak — marynarz?? — pytali dalej z niedowierzaniem.

W pytaniach tych był pierwszy promyk nadziei. Zaremba zaprzeczał poważnym jednostajnym ruchem głowy, ale nic pozytywnego wyjaśnić tym ludziom nie mógł. Nadaremnie usiłując znaleść wyjście z sytuacji dojrzał nagle sposób prosty. Zrzucił z siebie ubranie, zakasał bieliznę i obnażywszy nogę pokazał góralom wielką szramę po kuli.

— To kozak — tłomaczył na migi.

Potem rozdzielił włosy na głowie, pokazując rozorany szablą znak po cięciu kozackiem.

— Kozak — kozaki — powtarzał z łagodnym uśmiechem.

Wreszcie zawinął rękaw. Powyżej łokcia ukazał się czerwono-siny, wielki ślad, wypalony rozpalonem żelazem. Przyjrzeli się uważnie tej niezwykłej ale charakterystycznej ranie i kiwali głowami, coś mówiąc z ożywieniem.

— Kozaki? — pytali ciekawie.

Zaremba wyjaśniał:

— To bolszewiki — to komunisty.

Gdy nie wiedzieli jeszcze, co myśleć i co począć, Zaremba wyciągnął rękę do jednego z nich. Wiedzeni instynktem i opanowani podziwem dla pewnej siebie i spokojnej postawy — odpowiedzieli na ten odruch uściskami żylastych dłoni. Żołnierskie legitymacje obcego człowieka przemówiły do nich językiem zrozumiałym. Oddali mu nawet — po krótkiej kłótni — karabin i rewolwer.

Już o zmierzchu ruszono w drogę. Górale szli prawie biegiem. W bardziej stromych, lub spadzistych miejscach pomagano Zarembie przejść. Pociemku, wśród zacinającego deszczu, doszli wreszcie do osiedli, powitani ujadaniem olbrzymich psów. Do jednego z budynków, położonego na urwistem zboczu, szło się z trudem, po wybitych w skale stopniach. Zaremba miał uczucie wędrowca, wracającego z długiej peregrynacji do rodzinnego domu. Zginając postać, przekroczył próg.

— Bądź gościem naszym — powiedział stary góral, patrząc przenikliwie na przybysza. Dwie kobiety: pomarszczona i drobna staruszka, oraz dorastająca dziewczynka — podały mu wodę do mycia i pożywienie.


KREMY
Ogórkowy, Lanolinowy, Wazelinowy, Philodermina.
z przyjemnymi i wykwintnymi zapachami wybielają i udelikatniają skórę.
WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI
M. Malinowskiego
ul. Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul. Nowy Świat 31

STOCZNIA GDAŃSKA BUDUJE KAROSERJE

ODDZIAŁ: TROYL WERK.
NAJWYŻSZE NAGRODY: 1. NAGRODA i. MEDALE ZŁOTE

„Chatka" wuja Toma-Hearsta naszego i francuskiego nieprzyjaciela



Hearst wśród gości podczas lunchu.

W. R. Hearst, potentat codziennej prasy amerykańskiej wybudował sobie w Kalifornji, pomiędzy San Francisco i Los Angelos, swoją rezydencję, którą nazwał „c h a t k ą". Chatka nie jest jakąś zwykłą wiejską posiadłością, oddaloną od ośrodków przemysłowych i kulturalnych karju. Właśnie połączenia telefoniczne, telegraficzne, radjowe, samochodami, samolotami ba, nawet własnemi pociągami pozwalają Hearstowi pracować wraz ze sztabem kilkunastu sekretarzy i sekretarek i „trzymać w garści" cały koncern prasowy. Hearst twierdzi, że siedząc na odludziu w swojej „chatce" więcej wie co się dzieje na świecie, aniżeli, gdyby mieszkał w New-Yorku. Pozatem praca jego jest 1000% wydajniejszą, gdyż nie potrzebuje się dusić w ciasnym pokoiku na -n-tym piętrze, jakiegoś drapacza chmur. Mieszkając w wiecznie słonecznej Kalifornji, mając przed sobą cudowne krajobrazy podzwrotnikowej niemal natury, może szybciej, jaśniej i skutecznie myśleć.

Oto jak jeden z jego gości opisuje pobyt na zamku Hearsta.

„Sam dojazd do zamku, położonego na szczycie wzgórza, mającego 700 metrów wysokości, przenosi człowieka w czarowny kraj baśni. Setki antylop i kozic pasie się swobodnie wokoło. (Hearst zabronił na nie polować). Sam zamek, „La Cuesta Encantada" leży w pośród olbrzymiego parku, w którym zebrano najwspanialsze okazy flory. Palmy i cyprysy obok zwykłych świerków walczą o pierwszeństwo królowania w tych roskosznych gajach. Czar parku pow ęk szają liczne rzeźby, pierwszych dłut świata, wychylających swe piękne sylwetki z pośród listowia. Zaprowadzono mnie do mego pokoju, w którym na pierwszy plan występuje olbrzymie łoże, pochodzące z 16 wieku. Liczne wazy peruwiańskie, zabytki zmarłych Inkasów zdobią tę komnatę, nadając jej charakter wprost muzealny. Zastałem na zamku 32 gości, którym pozostawiono kompletną swobodę ruchów. Cały dzień goście puszczeni są samopas. Nikt nikogo nie pilnuje.

Tennis, pływalnia, jazda konna, polo i inne sporty, uprawiane są tutaj przez cały dzień. Jedynie na lunch o godz. 1-ej i na obiad o godz. 7.30 wszyscy obowiązani są zebrać się przy stole, przy którym prezydjuje przemiły causeur i gościnny kasztelan swej „chatki" W. R. jak go nazywają znajomi i przyjaciele. 20-metrowy stół ugina się pod zastawą z najdroższej porcelany i kryształu. Wyszukane potrawy i zakąski z wielką srebrną wazą, pełną po brzegi kawioru, zaspakajają najwybredniejsze podniebienie. Po obiedzie tradycyjnie Hearst zwraca się do swych gości: „Come and see the picture". Wszyscy udają się do wspaniałego domowego kina, gdzie wyświetlane są filmy, przed wypuszczeniem ich na rynek.

Wieczór kończą tańce, którym przygrywa jedna z lepszych orkiestr U.S.A. Trudno jest dać pełny obraz tej luksusowej rezydencji. Trzeba ją samemu ujrzeć. Właściwie to nie jest rezydencja, a raczej orgja luksusu i bogactwa, jakaś sarabanda bożka złota, dla którego niema nic niedozdobycia. By mieć jakie takie pojęcie o tym zamku z bajki, niechaj nam posłużą następujące, suche dane statystyczne:

Zamek i ogród, bez mebli i zbiorów przedstawia w a r t o ś ć 15 m i l j o n ó w dolarów. W barakach, k o ł o zamku koczuje stale 150 robotników, którzy nieustannie coś budują, lub przerabiają. Służba składa się ze 150 osób. Srebra, które były niegdyś własnością Henryka VI-go, króla angielskiego, kupił Hearst w cenie od 4 do 8 tysięcy dolarów za sztukę. 12 srebrnych łyżeczek kosztowało go 52000 dolarów. Niezliczone meble muzealnej wartości, jak: łóżko kardynała Richelieu, obrazy, gobeliny, kominki, bronzy, dywany i rzeźby stanowią majątek, sięgający dziesiątków miljonów dolarów. Założenie zwierzyńca domowego, składającego się z przedstawicieli wszystkich niemal drapieżników, kosztowało 3 miljony".

Dość. Nie mogę już więcej nadużywać cierpliwości i nerwów czytelnika. Niechaj reprodukowane tutaj zdjęcia, z „chatki" Hearsta, dośpiewają nam resztę.

Niechaj nasi Szanowni Czytelnicy, czytając niniejszy artykuł, nie posądzają nas o jakąś złośliwość. Prawda, że w czasie obecnego głodu mieszkaniowego opisywać bajeczne apartamenta ludzi bogatych, nieposiadających w swoim słowniku słowa sublokator, jest do pewnego stopnia torturą Tantala. Chwilowe jednak zapomnienie naszych codziennych trosk, może posłużyć do tem łatwiejszego ich przetrzymania i dlatego odbędziemy podróż do rezydencji króla prasy amerykańskiej, Williama Randolpha Hearsta.



2 najcenniejsze eksponaty, obraz i rzeźba.



Wiliam Randolph Hearst przy pracy.



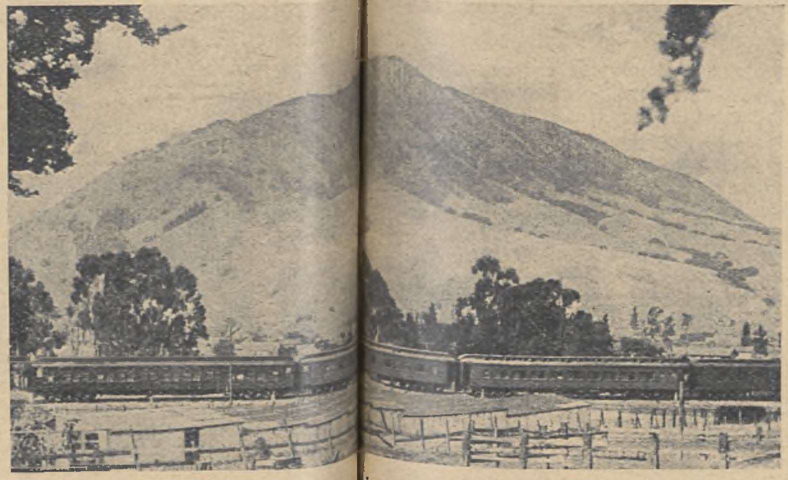
Balon z oliwą sprowadzoną specjalnie z Grecji.



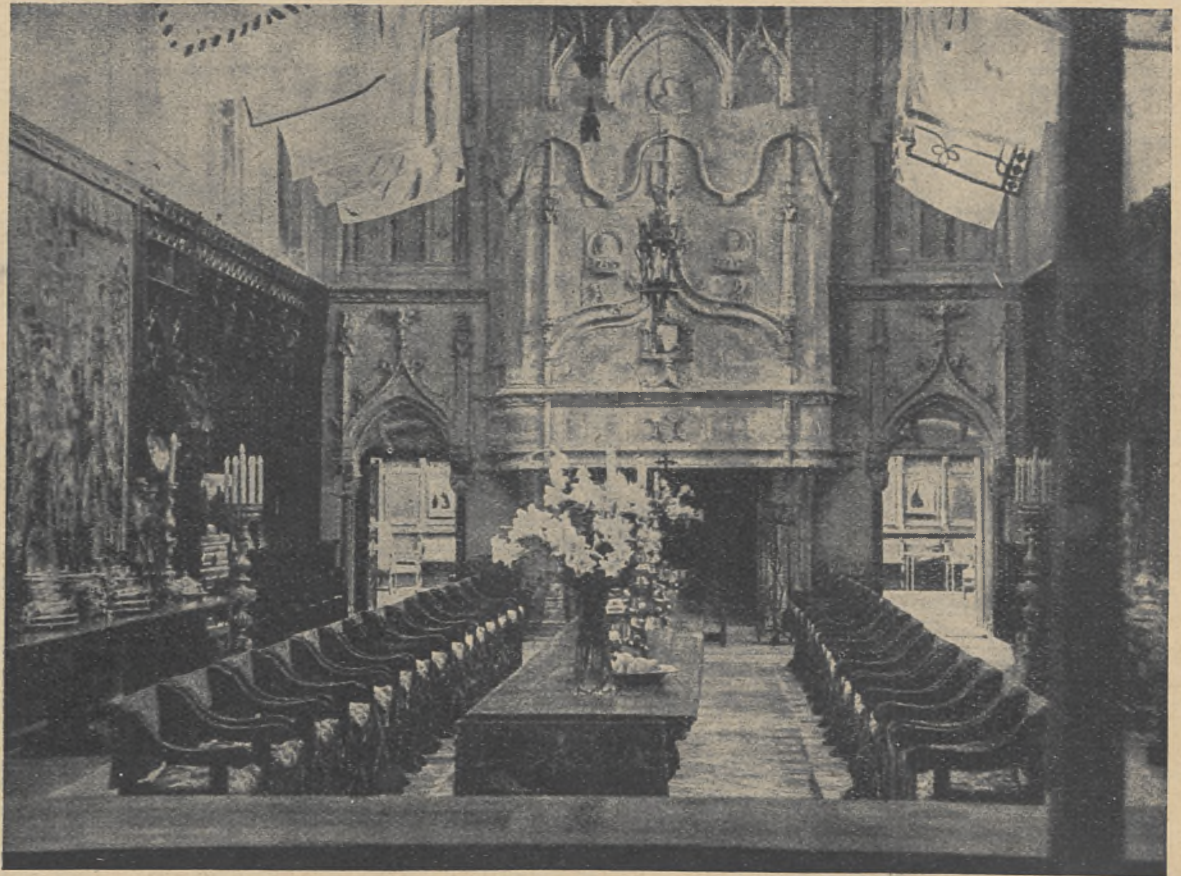
Fragment z parku.



Łoże kardynała Richelieu służy niejednemu gościowi Hearsta.



Specjalny pociąg, własność Hearsta, którym król prasy przywozi gości do „chatki".



Jadalnia w sali rycerskiej z 20-metrowym stołem.



Słynny fałszerz dokumentów dyplomatycznych (rewelacje Utrechtsch Dagblad), Albert Franciszek Heine.

J. MISIEWICZ.

Fałszerstwa dokumentów

W pojęciu wielu ludzi, goniących za szybkim i łatwym zarobkiem, pokutuje zgoła błędne mniemanie, jakoby najodpowiedniejszym po temu środkiem było fałszowanie dokumentów. Cóż bowiem na pierwszy rzut oka prostszego, jak wytrzeć z dokumentu czy wywabić chemicznie jakiś niepożądany wyraz, jak dorobić do sumy jedno lub kilka zer, czy przerobić jedynkę na czwórkę, jak dopisać jakiś korzystny wyraz na końcu wiersza, czy wogóle spreparować dokument zupełnie nowy, opatrzywszy go podpisem choćby starannie przekalkowanym z oryginału.

Zadanie to, wszakże zostało znacznie utrudnione, od chwili mocnego oparcia metody badania podejrzanych dokumentów na zasadach naukowych: można też bez obawy przesady powiedzieć, że obecnie nie do pomyślenia jest podejrzany dokument, którego fałszu nie możnaby wykryć. Stwierdzam to zarówno dla uspokojenia tych, którzyby mogli paść ofiarą fałszerstwa, jak i dla przestrzeżenia samych fałszerzy.

Zacznijmy od prostego przerobienia jedynki na czwórkę. Jest to zabieg tak prosty, że podjąć go może, zdawałoby się, każdy, z pełnem przeświadczeniem, że uczyni to w sposób, którego nie wykryje nawet najwprawniejsze oko. Temu zaprzeczyć nie można, jeśli chodzi o rozpoznanie *gołem* okiem. Jednak zdjęcie mikrofotograficzne, które daje obraz podejrzanego fragmentu w bardzo dużem powiększeniu, wykaże z łatwością, że łamana linja, którą nadano jedyne wygląd czwórki, ma przy silnem powiększeniu wygląd jakby złamanej zapałki, położonej swym jednym końcem *na* zapałce pionowej: stąd prosty wniosek, że linja łamana została napisana *później*, podczas gdy normalnie pisze się czwórkę, stawiając najpierw kątowy zakrętas, następnie dopiero dopisując doń linję pionową. Powiedzmy jednak, że ten tok rozumowania może być zawodny, względnie niewystarczający, do postawienia ostatecznego wniosku. Przypuśćmy też, że dopisany fragment dokumentu przypadł w ten sposób, że któraś z jego linij przecina linję złamania, jaka powstaje po złożeniu papieru dla łatwiejszego przechowywania go. W tym wypadku mamy do rozporządzenia drugi środek rozpoznawczy, który jest oparty na następującem prostem rozumowaniu: to, co zostało dopisane później — dokonane być musiało *po* złożeniu dokumentu; jeśli więc dopisany tekst przecina w którym punkcie linję załamania papieru, to w tem miejscu, które nabrało wskutek tego załamania znamion bibulastości, musiało nastąpić rozlanie się atramentu, które jeśli nawet nie jest widoczne gołem okiem, to wykryte zostanie przez mikrofotografję.

W naszem laboratorjum policyjnem znajduje się, można powiedzieć, klasyczny eksponat sfałszowania dokumentu, drogą dopisań. Ten, który go spreparował, ominął przemyślnie wszelkie sidła, jakiemi grozi współczesny stan mikrofotografji: nie pozwolił sobie na żadne zakreślenie nowej linją tekstu dawnego, skrupulatnie obszedł każde załamanie papieru i t. d. Zresztą co tu dużo mówić: „elaborat" ten został specjalnie przygotowany dla celów doświadczalnych przez nasze laboratorjum policyjne. Pomimo to, zwykłe oświetlenie dokumentu promieniami ultrafioletowemi zdradziło dopiski: chociaż bowiem dla dopisania dobrano ołówek o idealnie tymżesamym odcieniu, to jednak drobne różnice składu chemicznego obu ołówków sprawiły, że w świetle promieni ultrafioletowych tekst dawny nabrał odcienia oczywiście różniącego go od tekstu dopisanego.

Z ciekawym przypadkiem zastosowania promieni ultrafioletowych, choć nie dla celów śledczych, miał do czynienia w czasie wojny światowej Gabinet Sądowo-Technicznej Ekspozytury w Belgradzie. Pewien posiadacz weksla schował go podczas okupacji niemieckiej do skrytki, którą sporządził sobie w ziemi. Gdy stosunki się uspokoiły i gdy w dodatku na skutek tego uspokojenia powstała jakaś możliwość uzyskania należności wekslowej, wydobył dokument ze schowka, przekonał się jednak, że tekst, choć był pisany atramentowym ołówkiem, wyblakł do tego stopnia, że nie można było na nim nic wyczytać. Pomimo to, ufny tylko w słuszność swej sprawy, przedstawił ten, zdawałoby się beznadziejny, dokument — sądowi. Na żądanie stron, sąd przesłał nieczytelny weksel do Gabinetu Ekspertyzy, któremu po zastosowaniu promieni ultrafioletowych udało się odtworzyć zanikły tekst.

Znacznie trudniejsze jest odtworzenie tekstów wydrapanych: tu już z sukursem muszą przyjść promieniom zabiegi chemiczne, nieraz bardzo skomplikowane — jednak w rezultacie rzecz nie jest nieosiągalna. Gdyby ktoś w tym względzie miał jakieś wątpliwości, przekona go z łatwością następujący wypadek, opublikowany przez jednego z najwybitniejszych kryminologów francuskich. Podmiotem usiłowanego oszustwa był pewien kupiec, od którego domagano się uiszczenia całej sumy, wystawionej na dokumencie, podczas gdy napastowana osoba twierdziła, że większą część należności uiściła, odnotowawszy to na odwrocie dokumentu. Cóż jednak z tego, kiedy odwrotna strona zobowiązania była czysta. Gdy wreszcie poddano dokument badaniu w laboratorjum, przekonano się, że zabiegliwy fałszerz, dla unicestwienia tekstu na odwrocie, zastosował aż trzy środki: wyskrobał go, następnie zamazał dla pewności fioletowym atramentem, a na dobitkę zakleił papierem. Sytuacja była kłopotliwa: gdyby te zabiegi miały miejsce na samym dokumencie, możnaby domniemanego fałszerza szachować grozą odpowiedzialności za *sam fakt fałszerstwa*; ponieważ jednak odwrotna strona zobowiązania nie ma charakteru dokumentu, przeto mógł fałszerz swobodnie twierdzić, że wolno mu przecież na odwrocie, zarówno wyskrobywać zanieczyszczenia, jak i kreślić na nim, ile mu się żywnie spodoba, jak wreszcie dla zwiększenia trwałości podkleić dokument. W tem wszystkiem mógł jednak mieć rację tylko tak długo, dopóki nie zastosowano w laboratorjum kąpieli w siarczku amoniaku, pod której wpływem wystąpiły fragmenty wyskrobanych wyrazów, dopóki odpowiednie prześwietlenie nie zneutralizowało przeszkody, w postaci naklejonego papieru, dopóki względna nieczułość pewnych klisz fotograficznych na kolor fioletowy nie zmniejszyła znaczenia nakreśleń. Po zastosowaniu tych zabiegów wystąpiło pokwitowanie, które było dowodem częściowego uregulowania należności, mianowicie w kwocie 800 franków.



Szafka służąca do sprawdzania wodnych znaków na czekach i banknotach.

Dla podrobienia czyjegoś podpisu niema nic prostszego nad przekalkowanie, na pożądany dokument, podpisu oryginalnego i staranne oprowadzenie tak sporządzonego wzoru atramentem. Bezsprzecznie! Jednak niema tu również nic bardziej złudnego nad mniemanie, że wykrycie fałszerstwa takiego podpisu stanowi jakąś trudność dla laboranta. Wszak nawet najbardziej skrupulatne wytarcie wzorca kalkowego pozostawia ślady, widoczne pod promieniami ultrafioletowemi, a trzeba wszak na niekorzyść fałszerza dodać tu jeszcze pewne drżenia ręki, których niema przy pewnie stawianym podpisie autentycznym, a które muszą mieć miejsce przy powolnem rysowaniu po wzorze, a dalej konieczność poczynienia pewnych poprawek w rysowanym podpisie. Przypuśćmy jednak, że wszystko to laboranta zawiedzie. Wówczas ma on jeszcze cały arsenał środków innych—choćby ten, który został przez nasze laboratorjum policyjne zastosowany przy fałszerstwie podpisu na czeku, jakie miało miejsce w roku bieżącym. Sfotografowano dwa czeki — z podpisem podejrzanym i bezsprzecznie autentycznym, utrzymując zdjęcia *w jednej skali*. Otrzymany w ten sposób materjał zbadano nie drogą porównania odbitek fotograficznych, a klisz, których przezroczystość pozwalała na nałożenie jednego podpisu na drugi. I oto okazało się, że obydwa podpisy przylegają do siebie idealnie, rzecz co najmniej nieprawdopodobna przy podpisywaniu przez osobę właściwą, która wszak za każdym podpisywaniem się inaczej podpis rozciągnie, czy skupi, dokona go literami większemi czy mniejszemi.

Rozwój środków, jakie nauka stosuje przy rozpoznawaniu fałszerstw, dopinguje z natury rzeczy fałszerzy do wynajdowania coraz to doskonalszych sposobów fałszowania, spotkać też można wśród tych pomysłów szczególnie przemyślne. O takim specjalnie dowcipnym sposobie sygnalizował naprzykład, w swoim czasie, wspomniany już, wybitny kryminolog francuski. Kuzyn niejakiego pana La Boussiniére, pominięty przezeń w testamencie, postanowił rzecz tę naprawić drogą sfałszowania ostatniej woli krewnego. W tym celu, posiadając sporą paczkę listów zmarłego, powycinał z nich potrzebne mu zwroty, wyrazy, a nawet litery i z tak uzyskanych fragmentów, własnoręcznego pisma testatora zestawił sobie pożądaną treść, drogą odpowiedniego naklejenia wycinków na czysty papier. Następnie skojarzył się z rytownikiem, który mu sporządził z tego odbitkę na papierze stemplowym sposobem litograficznym, przy którego użyciu zatraciły się ślady naklejenia, a pozostał tylko sam tekst. Sąd, któremu przedstawiono „dokument", dał się podejść: rzecz rozbiła się tylko o rytownika, który za skąpo wynagrodzony — wydał przez zemstę fałszerza. Drugi wypadek podawany przez tegoż francuskiego kryminologa, dotyczący podobnie spreparowanego dokumentu, doszedł jednak do laboratorjum, które zgotowało mu w swym przybytku niesławny koniec. Pomimo bowiem wielkich zalet metody fałszowania dokumentów drogą zestawiania ich z autentycznych fragmentów pisma, ma ona i tę nieuniknioną, a jednocześnie wielką wadę, że fragmenty wykrojone z różnych tekstów wykazują przy połączeniu różnorodność wysokości i szerokości pisma oraz wzajemnego położenia względem siebie — jednem słowem typowe właściwości zlepku, które w każdym bądź razie, przy silnem powiększeniu, ujawnią się w całej okazałości.



Piękne włosy za parę groszy

Obecnie istnieje też

Pixavon-Shampoon

Paczuszka wystarcza na dwa razy i kosztuje tylko

50 groszy

Pixavon-Shampoon nie zawiera sody, daje pełną, miękką pianę i nadaje włosom piękny zapach.



ZIOŁA LECZNICZE CHOLEKINAZA LECZĄ CHOROBY WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓŁCIOWE, ZŁĄ PRZEMIANĘ MATERJI. BROSZURA DR. T. NIEMOJEWSKIEGO PRZY KAŻDEM PUDEŁKU. SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 5.



POPIERAJCIE
L. O. P. P.

JULJAN NEVER.

GŁODNEMI OCZYMA

WRAŻENIA Z PODRÓŻY PO EUROPIE.

DLACZEGO?

Kiedy przed wyjazdem zadałem sobie pytanie: dlaczego zagranicę — odpowiedziałem — dlatego, że jeszcze nigdy w Europie nie byłem. Ale na przyszły rok, kiedy to samo pytanie sobie zadam, odpowiem: — bo byłem w Europie.

Po tej podróży, po tym jednym miesiącu zdjęć migawkowych krajów i ludzi, Europa straciła mityczną mgiełkę dalekości. Wabi mnie i woła silniej jeszcze. Przedziwny jad podróży wsączył się już w moje żyły...

BERLIN.

Dobiega ósma wieczór. Słońce już zaszło. Szaro.

Pociąg pędzi górą nad przedmieściami miasta — olbrzyma.

Pierwsze wrażenie to — Szprewa. Zakuta w kamienne wały, czarna i lśniąca — pracuje. Statki, berlinki, łodzie, a na brzegach dźwigi, żórawie — ścisk maszyn i ludzi. Szary ton przedwieczoru, rzeki, wybrzeży, kamienia.

Miasto się zbliża. Pociąg wjeżdża w samo serce stolicy.

Aussteigen...

KAMIENNE MIASTO.

Masywne, krępe, niewysokie (4 — 5 piętrowe) domy mieszkalne. Potężne, ciężkie gmachy reprezentacyjne. Wrażenie ciężaru i mocy. Ale gładkość asfaltu... Ale szerokość ulic... Ale matematyczne rozwiązanie problemu regulacji ruchu. Ruch uliczny bodaj większy, aniżeli w Paryżu, ale się tego nie wyczuwa, tak szerokie, wygodne są arterje i tak świetnie jest on unormowany. Gmachy reprezentacyjne, muzea, pałace — brzydkie niegustowne, ciężkie, ale samo miasto — olbrzymie, tętniące rytmem pracy imponuje rozmachem i tempem.

WIECZOREM.

Berlin w nocy jest piękny.

W świetle latarń lśni asfalt i uśmiecha się zieleń Charlottenburga.

Nowe centrum miasta: Kurfürstendamm, Tauenziehrnstrasse, Zoo i inne kolosalne arterje grają światłami. Gmachy na Zoo, wielkie kawiarnie płoną. Rury neonowe pełzną po piętrach. Neon czerwony, niebieski, zielony. Cudowny zaiste widok. W nocy Berlin prezentuje się okazalej od Paryża.

KOLOR.

Jeżeli Berlin reprezentuje Niemcy, to kolor reprezentacyjny Berlina winien być barwą narodową Niemiec.

Kolor ten jest żółty i czarny.

Kombinacja tych dwóch kolorów składa się na wszystkie niemal napisy reklamowe, na barwę tramwajów, autobusów, kiosków i t. p. Dziwne...

KARSTADT.

Kolosalny „Warenhaus" większy od Wertheima i Tietza razem wziętych, młodziutki, bo zaledwie 1 rok i 2 miesiące liczący — drapacz nieba, w dzielnicy robotniczej „Karstadt" z własną stacją metra w podziemiach, jest jednem z najpotężniejszych wrażeń berlińskich.

Ten reprezentacyjny gmach nowoczesnego budownictwa — kolosalny blok z szarego kamienia, mimo swej rozległości strzelisty i smukły, dzięki wieżycom, na których powiewają chorągwie — już zdaleka rzuca się w oczy.

Wzdłuż występów muru biegną linje lampek elektrycznych, krytych płytami mlecznego szkła. W nocy gmach płonie. Nazywa się to fachowo: „oświetlenie jako czynnik architektoniczny". Wewnątrz—miasto. Jeżdżę z piętra na piętro tego potwora ogromnemi windami, spływam i wpływam na ruchomych schodach — i nie wiem, gdzie naprzód patrzeć. Ceny są niskie. Niektóre produkty w tym drogim Berlinie są znacznie tańsze, aniżeli we Francji, kraju o niskiej walucie. Na górze, na tarasach, na basztach, na wieżach — kawiarnie, najlepsze orkiestry Berlina, i widok na to największe obszarem miasto świata, którego krańców z najwyższego piętra dojrzeć nie sposób.

„PHAEA" W TEATRZE REINHARDTA.

Najpiękniejsze wspomnienie z Berlina...

„Deutsches Theater" — mały teatrzyk — coś jakby nasz Teatr Narodowy przed przebudową, drży z zachwytu pod lwią łapą Reinhardta.

Pobożna cisza na widowni, na scenie — cuda. Cuda gry i reżyserji.

Zrozumiałem to, czego dotychczas pojąć nie byłem w stanie — że przed spektaklem, w takim powiedzmy teatrze Stanisławskiego, ludzie po nocach stali w kolejce, by zdobyć bilet.

Warto.

„Phaea", sztuka Fritza von Unruh — to rzecz o mocnych akcentach satyrycznych, rozgrywająca się w ultra nowoczesnem środowisku, w wytwórni filmu dźwiękowego. Ale doprawdy nie jestem w stanie odgraniczyć zasługi autora od wartości gry i reżyserji, tak wszystko w jednym tyglu pysznej realizacji stopione.

Aktorka Mosheim, która gra Phaeę, dziewczynę z ludu, z przedmieść Berlina, jest zachwycająco prosta i naturalna, i ta prostota i szczerość gry jest jednym z największych walorów widowiska. Słowa: „...nigdy jeszcze sama nie spałam. muszę chyba już wyjść zamąż, żeby zobaczyć jak to będzie"... — są wypowiedziane z takim akcentem prostoty i szczerości, że teatr drży od oklasków...

W tym teatrze gra wszystko: grają martwe przedmioty; statyści dawno przestali być statystami — wielkie i piękne widowisko.

I gdyby nawet nic innego w Berlinie nie było oprócz tej sztuki, to i tak, z pobytu w tem mieście, byłbym więcej, aniżeli zadowolony.

HENRYK FIEDLER.

FALA 1411

„Rykówka" zaczęła robić swoje. Coraz częstsze wrzaski słychać było z sąsiedniego pokoju. Padały słowa ciężkie, bluźniercze, wyuzdane. Każde zdanie przepojone było krwią i nienawiścią. Od czasu do czasu rozlegał się histeryczny śmiech kobiet, chichoty i rechot ochrypłych głosów męskich.

Uczta trwała od wczoraj. Obchodzono uroczyście nominację młodego Stanisława Księżopolskiego na Speca, w oddziale sekretnym G. P. U.

Właściwie to się już nie nazywał Księżopolskim. Zbyt burżuazyjne nazwisko. Pachniało kontr-rewolucją i zatrutym oddechem zgniłego zachodu. Zresztą sam towarzysz Unszlicht, jego protektor, poradził mu zmienić nazwisko. Radził mu z czystej sympatji. Bo to nic nie wiadomo. Zwycięska rewolucja i zdobywczy proletarjat może się o to przyczepić. Że, niby umyślnie świeci ludziom w oczy tym polskim księdzem, a może jeszcze gorzej — księciem.

No i nadali mu nazwisko — Riezunow. Odrazu przynajmniej w nazwisku jest i promocja na wiernego komunistę i jasno określony program działania. Z tego powodu miał już kilka wrogów, którzy zazdrościli mu tak świetnego pomysłu. Ha trudno! Nikt się jeszcze taki nienarodził, ktoryby był mile widziany przez swych przyjaciół.

Ale go się też już bali. Dygnitarz z sekretnego oddziału — Sekodu — to niebyle jaka szyszka. Narazisz mu się to na Sołówki każe wysłać, albo też zlikwidować.

Płaszczą się też przed nim jego współtowarzysze orgji, dolewają rykowki, prześcigają się w uprzejmościach. Taki spec, to się naprawdę w czepku rodzi. Niebraknie mu niczego; najlepsze marynaty, owoce, słodycze, wina, sprowadzane z burżuazyjnej zagranicy. I pojeść można i popić, i pośmiać się. Naprawdę cudownie.

*

W sąsiednim pokoiku w głębokim fotelu siedzi stary pan Księżopolski. Głowę oparł na ręce i marzy. Zdaje się nie słyszeć co się wokoło niego dzieje. Nie bierze udziału w domowej uroczystości. Myśli jego błądzą gdzieś, het po Warszawie. Tam się urodził, tam pochował swą drogą Marysię, tam pozostawił całe swoje szczęście. Zdaje mu się, że widzi swe mieszkanko na ulicy Kruczej, w którem było takprzytulnie. Żona krząta się około gospodarstwa, Staś siedzi nad książką, monotonnie wbijając w głowę słówka łacińskie. Przyniesiona przed chwilą wiązanka kwiatów roztacza miły, rozkoszny zapach. A potem wybucha wojna; wszystko toczy się z zawrotną szybkością — Ewakuacja, tułaczka po obcych miastach, rewolucja, głód, wreszcie syn, komunista.

„Krwawy Polak" — jak go przezwali w G. P. U. Nawet w tej jaskini mordu i bestjalstwa zaimponował wszystkim swem okrucieństwem. Mówił, że tworzy nowe życie. Wyprowadza zgwałcony naród na jasną drogę szczęścia i spokoju. I dlatego mordował. Z jakimś dzikim uporem, z sadystycznem zacietrzewieniem.

Niedość było mu podpisywać wyroki śmierci. Sam chciał śmierć zadawać. Nieraz rozgrzewała się lufa jego nagana, od zbyt częstej pracy.

Niektórzy twierdzili, że dzięki swej twórczej pracy otworzył sobie drogę do najwyższych zaszczytów. Inni znowuż, co było nawet niebezpieczne, że chciał zabić drzemiący w duszy polski sentymentalizm.

Narazie jednak godności sypały się, jak z rękawa. Mianowali go prezesem ochronki sierot po poległych komunistach; został dyrektorem instytutu konserwującego dzieła sztuki; przewodniczył komisji wypuszczania na giełdy europejskie fałszywych papierów wartościowych.

Stał się pupilkiem samodzierżcy Stalina.

Ciężkie myśli opadły starego pana Księżopolskiego. Jedyny syn, jego duma i cała nadzieja szczęśliwej starości — katem. Podeptał nogami swój honor, nazwisko, narodowość, unurzał ręce we krwi niewinnych, ba! nawet napluł na Boga.

Tworzy nowe życie, nową religję komunistyczną, gdzie Bogiem jest użycie, a sakramentem kula i nóż.

Przeciągły ryk przerwał dumania starszego pana. Słychać było brzęk szkła, przekleństwa, a wreszcie słowa:

— Nu Masza! Pokaż jeszcze raz, jak archijerej mówi kazanie!...

Za chwilę piskliwy głos pijanej dziewki zaczął wygłaszać przemówienie, naszpikowane wyuzdanemi wyrazami i przerywane pijacką czkawką.

Pan Księżopolski zatkał uszy. Ze zgrozą słyszał własnego syna, który podpowiadał dziewczynie najbardziej bluźniercze wyrazy. Przerażonym wzrokiem obiegł pokój dookoła, jakgdyby szukał miejsca do ucieczki.

Wreszcie oczy jego padły na odbiornik radjowy, który syn jego zainstalował u siebie od paru dni. Był to duży 6-lampowy aparat z głośnikiem. Jedynie tylko wybitnym i zaufanym komunistom wolno było posiadać taką zabawkę w domu. Inni mieli prawo na aparat detektorowy, mogący chwytać jedynie agitacyjne przemówienia stacji moskiewskiej. Broń Boże, by słyszeli głos burżuazyjnej chołoty z Zachodu.

No, ale komisarz Riezunow, spec Sekodu, to człowiek, którego nie wezmą na lep słodkich słówek biali kontr-rewolucjoniści. Wolno mu sobie posłuchać i Wiednia i Paryża i Berlina. Jego nie przekupią, nie przerobią.

Starszy pan podchodzi do aparatu. Drżącemi rękoma nakłada słuchawki.

Wrzaski pijanej tłuszczy, dochodzą teraz, jakby z oddali. Chwilami nawet cichną.

Starcza ręka chwyta się za piersi, wściekły, kłójący ból wdziera się do serca wzdraga się, chciałby porwać to biedne serce w kawałki, niezostawić nic z tego co w niem jest ukryte, wyrżnąć wszystkie wspomnienia raz na zawsze i pozostawić jeno garść popiołu.

Siwa głowa ciężko opada na piersi, osłabione ciało osuwa się na ramię. Ręce czepiają się przedmiotów. Palce bezwiednie przekręcają kondensator.

Co to. Słychać organy, śpiew a potem głos: — **Módlmy się bracia za tych, którzy giną niewinnie w umęczonej Rosji.**

Stary pan Księżopolski już nic nie słyszy. Twarz jego wyraża spokój i od wielu już lat niespotykaną pogodę. Na ustach wykwitł zapomniany prawkie uśmiech. Bo słyszy falę z dalekiej Ojczyzny...

— Radjo Warszawę — Fale 1411...



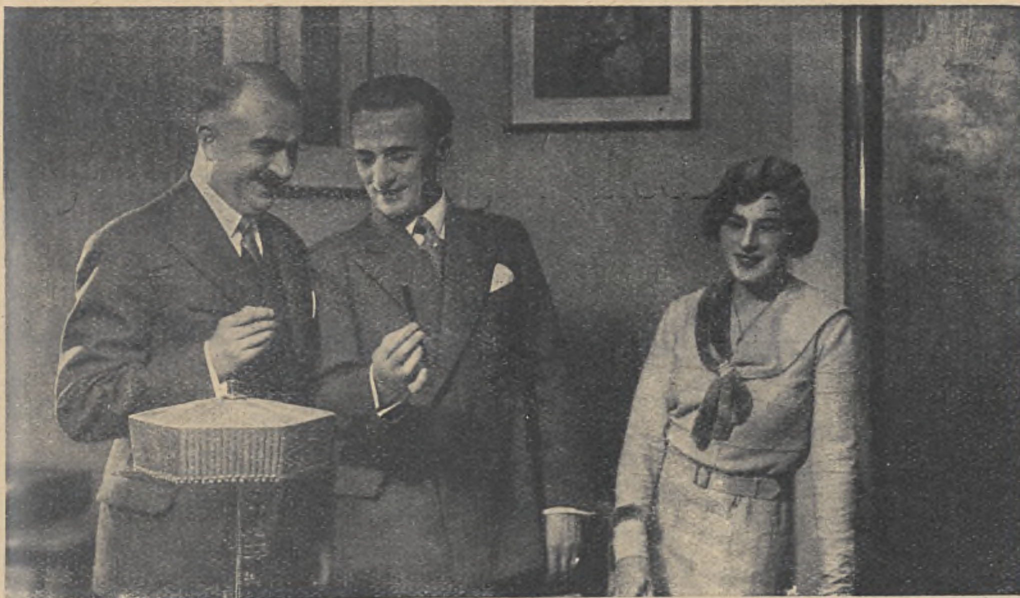
„Królowa ekranu polskiego" Jadwiga Smosarska, bohaterka filmu „Na Sybir".

Cały świat artystyczny ubiera się w składzie futer

J. PILCZER

Warszawa, Bielańska 19, tel. 251-07.
OSTATNIE MODELE Z PARYŻA I WIEDNIA.
Hurt Detal.





Wielkiem powodzeniem cieszy się w teatrze Małym „Wieczne pióro" z pp. Kamińską i Grabowskim w rolach głównych. (Fot. Brzozowski).

Impresje rewjowe

— *Morskie Oko:* „Parada gwiazd", rewja w dwóch aktach. — *Qui Pro Quo:* „Zjazd Centrośmiechu", rewja w 2 aktach.

W „Morskiem Oku" zapowiadano nam tak olśniewającą „Paradę gwiazd", że szło się na premjerę w oczekiwaniu rzeczywiście czegoś „niebotycznego"... Niestety, okazało się, że „gwiazdy" bynajmniej nie były „paradne", w dodatku zaś ober-astronom tak je porozmieszczał na firmamencie, że na Jasnej bynajmniej nie było jasno... Ponieważ ma w zespole rownie wytworną, jak utalentowaną śpiewaczkę w postaci Very Bobrowskiej, więc umieścił w stylowym „Bois de Boulogne"—Pogorzelską, która już dziś —co tu ukrywać?—jest niezrównana jedynie w groteskach charakterystycznych... Ponieważ posiada fenomenalną tancerkę w postaci Antoszówny — lokuje ją... na afiszu, a na scenie nie pokazuje... Krukowskiemu każe śpiewać niesmaczne i nietaktowne piosenki o Treviranusie, co już, zresztą, cała prasa zgodnie potępiła... Wogóle, ten „kameralny żydek" powinien wrócić, skąd przyszedł... Brawo dostaje tylko za starą piosenkę z „Qui pro quo"... Tu się jakoś... rozpływa... Zdolne i cenne nowe nabytki: Ina Benita, Nita Nilla, Barbara Horbaczewska pokazane są tylko „jak na lekarstwo"... Co z tego, że jest i Karlińska, i Bodo, i Olsza, i Walter, i Nowicka, i bardzo miły nowozaangażowany Żabczyński, kiedy wszystko razem jakoś się nie klei... Tylko Turek jest coś wart w całej rewji... On jeden w niej doprawdy... żyje... Miejmy nadzieję, że następną rewją dyrekcja zrehabilituje się w całej pełni...

A w „Qui pro quo"? Tam zawsze wesoło i uciesznie. Zwłaszcza teraz, gdy jest rewelacyjnie wszechstronna Modzelewska, zachwycająco urocza Ślaska, miły Rychter i ekscentryczny Fuks (który, coprawda, lepszy był w „Ananasie"), a pozatem dawni dobrzy znajomi.

Henryk Liński.



„Parada gwiazd" „Morskiego Oka" z Pogorzelską, Bobrowską, Karlińską, Nowicką, Krukowskim, Bodo, Olszą, Żabczyńskim i Konarskim na czele. (Fot. Brzozowski).





PIERRE MAC ORLAN. 4)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter, antykwarjusz, Marja-Chantal Fosseuse, śpiewaczka, Lucjan Flahaut, dziennikarz, Ludwik Fraipont, chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry.

Komisarz skinął głową w kierunku Fraipont'a.

— Nazywam się Ludwik Fraipont, panie komisarzu. Ludwik Fraipont. Jestem chłopcem garażowym w „Wielkich Garażach", na ulicy St. Charles obok...

Odnotowawszy adresy, komisarz zwrócił wszystkim wolność. Była druga godzina. Fraipont oświadczył, że kiszki grają mu marsza, wobec czego zje obiad w jednej z pobliskich restauracyj.

Pożegnał towarzyszy smutnego poranka i skręcił w ulicę Billancourt. Pewien osobnik, którego nie zauważył, dobrze znany komisarzowi, poszedł za nim w tym samym kierunku.

Zkolei przed komisarzem stanął Saint-Thierry.

— Zapomniał pan o mnie, panie komisarzu. Wracam z Barcelony; w Paryżu jestem od tygodnia. Otrzymałem list, który mogę oddać do pańskiej dyspozycji. Nie różni się niczem od tych, które ma pan przed sobą. Mieszkam w tej chwili w hotelu, na Avenue du Maine. Hotel „Du Sejour". Oto moje dokumenty.

Saint-Thierry skłonił się z dystynkcją.

Marja-Chantal Fosseuse, Eligjusz Mutter i on znaleźli się jednocześnie na ulicy pośród gromady gapiów, którzy przyglądali im się z ciekawością.

— Wezmę taksówkę — rzekł Saint-Thierry, zwracając się do swej towarzyszki. — Jeśli pani pozwoli, odwiozę panią, dokąd pani każe.

Marja-Chantal podziękowała.

— A ja mam zostać sam... — rozległ się płaczliwy głos Muttera — ze wspomnieniem okropnego widoku!

— Jeśli pan chce skorzystać z samochodu — proszę bardzo — rzekł Saint-Thierry, nie okazując wielkiego niezadowolenia.

*
* *

„Czarne Słońce" promieniało między północą a godziną drugą, w dolnej, ciemnej części ulicy Pigalle, oddalonej od wszystkich osławionych świateł tej dzielnicy. Trudno byłoby powiedzieć, że zakład ten odwiedzali międzynarodowi miljarderzy. Był to nocny lokal, przeznaczony wyłącznie dla ubogich amatorów przyjemności. To nocne zgromadzenie, rekrutujące się z najbardziej charakterystycznych elementów miast, ukochanych przez awanturników, nie było pozbawione pewnej elegancji. Przychodziły tam pić kobiety w chwilach, kiedy przelotne zwątpienie nakazywało im opuścić ulicę. Przychodzili samotni mężczyźni, czasami w towarzystwie, aby upolować jakąś ofiarę lub tylko pomysł, który wskazałby im trop ofiary.

Wszyscy bywalcy „Czarnego Słońca" znali się wzajemnie i każdy utrzymywał zwyczaje i przesądy, właściwe swojej sferze. Mężczyźni, którzy odwiedzali „Czarne Słońce", nie golili się przeważnie zbyt starannie. Najmłodsi pili przy bufecie, stojąc. Powietrze ulicy, przy każdorazowem otwieraniu drzwi szczypało ich w łydki podczas chłodnych nocy. Większość tych ludzi nie była Francuzami. Niekiedy jakiś marynarz albo żołnierz na urlopie przyłączał się do hałaśliwych dziewczyn ulicznych, pachnących deszczem i lichemi futrami.

W półmroku piło się wszystko: moralność, siłę i podstęp. Nie było żadnej szczerości w ożywieniu tych ludzi. Nie było tu okrucieństwa walki zwierząt ani też przebiegłości posuniętej do upodlenia. Jedni nie byli pozbawieni zasad honoru, a inni szkicowali pomiędzy dwoma kieliszkami wódki niewyraźne zasady etyki — wątpliwej, niejasnej, ale arbitralnej. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety z „Czarnego Słońca" znali prawo i jedno prawo. Rozprawiano o tajnem życiu miasta z kilku miast, rozsianych po świecie, nie starając się wcale zataić tych rozmów. „Czarne Słońce" stanowiło niejako łącznik pomiędzy Buenos-Ayres, Barceloną, Marsylją, Tangerem i Hamburgiem. Wszyscy bywalcy tego nocnego lokalu potrafili znaleźć w tych miastach podobny zakład. Znali z imion kobiety, które sławę swą zawdzięczały licznym przygodom i dziwnym komplikacjom. Mówiono o Alinie, Fernandzie, Anieli z Marsylji i Ninon Bretonce, jak na innych zebraniach mówi się o wielkich przemysłowcach lub księżniczkach mody i zbytku. Jedno imię, maleńkie imię kobiety stawało się naraz bodźcem do wywołania wspomnienia o wartości prawie literackiej, rozwijającego się jak taśma filmu w samotności, wywołanej nieudanemi kombinacjami.

Saint-Thierry popchnął drzwi, przy któ-



BOURJOIS
PARFUMEUR - PARIS

Generalna Reprezentacja na Polskę i w. m. Gdańsk: D.H. JÓZEF HOSIASSON, Warszawa, Trębacka 4.

rych stał portjer ubrany w zbyt długą liberję. Uderzyła go w twarz gorąca para, walcząca o lepsze z mgłą, przedostającą się z ulicy. Rozejrzał się dokoła, szukając oczami Marji-Chantal Fosseuse. Nie było jej jeszcze.

Saint-Thierry zajął stolik blisko korytarza, prowadzącego do garderoby artystek. Kilka kobiet przyglądało mu się ciekawie, starając się oszacować go, jeśli nie według jego prawdziwej wartości, to przynajmniej według jego wartości handlowej, na przeciąg jednej nocy. Rezultat ich obserwacji nie musiał być wielce obiecujący, gdyż przybrały znów właściwy sobie tępy wyraz twarzy, wyraz wiecznego wyczekiwania. Jedynie niebezpieczeństwo krążyło po tych ulicach, na których one czyhały cierpliwie, podtrzymywane przez nadzieję szczególnego rodzaju, nadzieję bez wiary we własne siły. Towarzyszyły im ukryte bestje strachu: strach przed policją, tak dobrze im przecież znany; strach przed mężczyzną, podstępnemi i zadrosnemi współzawodniczkami; strach przed głodem i temi nocami, kiedy nawet sen nie mógł utulić ich bezgranicznie zmęczonych ciał, wymarzony sen, który ulatywał od nich jak leciutki obłoczek, rozpędzany przez wiatr. Siedziały we cztery przed Saint-Thierry'm spokojne i upokorzone. Podobne były do papug w żałobnych sukniach, do słabych ptaszków, pozbawionych wdzięku i świeżości. Saint-Thierry zapytał chłopca w białej bluzie o Marję-Chantal Fosseuse.

— Śpiewa między północą i godziną pierwszą. Ale jest już kwadrans po jedenastej, więc pewnie zaraz przyjdzie.

Przy bufecie „Czarnego Słońca" dziesiątka młodych ludzi, ubranych jednakowo w brudne płaszcze, z białego nieprzemakalnego płótna, zajadała chleb z szynką, stanowiący ich obiad. Podobni byli do siebie z sylwetek i ruchów. Należeli do tej niepokojącej cyganerji sportowej, która od czasów wojny zastąpiła niemniej niespokojną cyganerje 1900 r.

Saint-Thierry przedstawiał klasyczny typ zamożnego młodzieńca. Znajdował się zupełnie na właściwem miejscu w tym nocnym kabarecie, jakkolwiek jego ubiór był bardziej staranny i bogaty, niż innych gości, którzy opychali się mikroskopijnemi kanapkami.

Około północy zjawiła się Marja-Chantal Fosseuse. Nie miała już miny nieśmiałej dziewczynki. Z wielką pewnością siebie skierowała się prosto na estradę, niby bokser na ring. Przechodząc, zauważyła Saint-Thierry'ego. Jego wysunięte pod stołem nogi i podciągnięte spodnie imponowały bogactwem skarpetek.

— Ach! drogi panie! — zawołała Marja Chantal. — Jakże się cieszę, że pana widzę!

Mówiła głośno, wdzięcząc się dla galerji. Dumna była z tego, że zwracała się do młodzieńca tak dobrze ubranego.

— Nie przypuszczałam, że zobaczę pana dzisiaj — rzekła półgłosem, pochylając się nad głową bywalca nocnych kabaretów. — Gdybym była wiedziała, nie dałabym panu czekać.

— Droga pani! — odparł Saint-Thierry wzruszony, wskazując jej obok siebie miejsce na kanapce.

— Za chwilę, jeśli będzie pan grzeczny — mówiła Marja-Chantal — usiądę koło pana, gdy tylko zrobię, co do mnie należy.

Gospodarz w smokingu klasnął w dłonie. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety stanęli na tę pobudkę na środku estrady. Z roku na rok tańczyli smutniej. Jedna z dziewcząt była pijana i pozwalała się ciągnąć swemu partnerowi. Posyłała ręką dziecinne pocałunki grajkowi, gospodarzowi, Saint-Thierry'emu i tym wszystkim, którzy wydawali się godni szacunku.

Marja-Chantal wzruszyła ramionami. Znów miała zniszczoną twarzyczkę małej dziewczynki.

— Przepraszam pana — rzekła nagle — muszę się przebrać.

Saint-Thierry zamówił butelkę szampana. Przyglądano mu się uważnie, a dziewczyny żałowały, że za wcześnie wydały sąd o nim, że nie oceniły go należycie.

Gra wszystkich świateł sali zapowiedziała występ Marji-Chantal Fosseuse.

Podwójne koło uliczników, w białych poplamionych płaszczach, otaczało teraz estradę, na której miała się ukazać śpiewaczka. Białe światło, rzucane przez mały reflektor, tańczyło na woskowanej posadzce jak błędny ognik. Jazz próbował głosu wszystkich swoich instrumentów. Rozległo się najpierw uderzenie cymbałów, a potem delikatna piosenka uliczna. Harmonja grała niby organy, a jazz wydawał łagodne dźwięki, podobne do odgłosu spadających kropel ze wszystkich rynien Montmartre'u.

Marja-Chantal weszła pewnym krokiem na estradę. Miała na sobie krótką czarną sukienkę, fartuszek i chusteczkę z czerwonego jedwabiu.

Saint-Thierry wstał, wykrzyknął „Ollé!", i rzucił w śpiewaczkę garść papierosów.

Ogólna wesołość. Jazz rozśpiewał się, a Marja-Chantal głosem ulicznej śpiewaczki zaczęła swój występ.

IV.

Saint-Thierry, urażony trochę tem, że nie zdołał oczarować Marji Chantal, której zdobycie wydawało mu się łatwe, nie mając jeszcze chęci się położyć, włóczył się po bulwarze Clichy w poszukiwaniu szczęśliwej okazji, która pozwoliłaby mu się zabawić w jednym z tych ciepłych jasnych lokali, przygarniających w milczeniu wszystkie pozostałości po paryskiej nocy.

(D. c. n.)



Udręczony człowiek.
Dokucza mu reumatyzm, a w domu niema tabletek Aspiriny. Jeśli jest rozsądny, pomyśli o tem, aby nabyć natychmiast w aptece oryginalnych tabletek Aspiriny, które uśmierzają bóle.

Istnieje tylko jedna
ASPIRINA
BAYER
Każde opakowanie i każda tabletka oryginalnej Aspiriny opatrzone są znakiem BAYER.



Reparacja na miejscu w ciągu 25 minut.

Zelówki męskie	Zł. 4.—
Obcasy „	„ 2.—
Zelówki damskie	„ 3.—
Obcasy „	„ 1.—

Zelówki szyte 1 złoty drożej.
Odbiór i dostawa do domów.

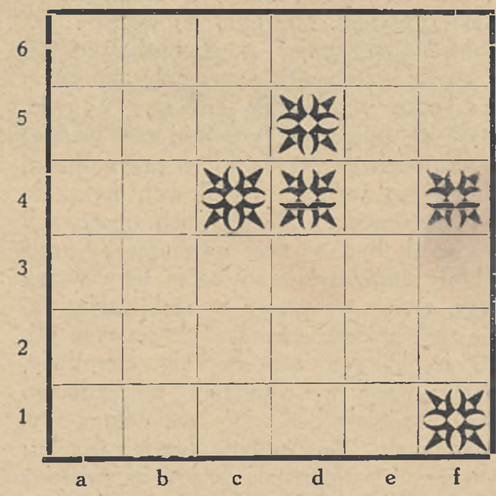
KAWA HAG
znakomita kawa ziarnista
bez kofeiny
całkowicie
nieszkodliwa




Przypominamy o uiszczeniu prenumeraty na kwartał IV.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.



Wyrazy pionowe:

a6 Zapach.
b6 Nieznana dotąd wiadomość.
c6 Nazwa litery (wspak).
e5 Łącząca część maszyny (auta).
f6 Nazwa litery.
c3 Żałoba.
d3 Imię żeńskie (zdrobniale).
f3 Jednostka elektryczności.

Wyrazy poziome:

a6 Bogini.
a5 Okres czasu.
e5 Miara powierzchni.
a4 Końcówka nazwisk rosyjskich.
a3 Cesarz wschodni.
a2 Owoc jadalny (wspak).
a1 Dawna machina wojenna.

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

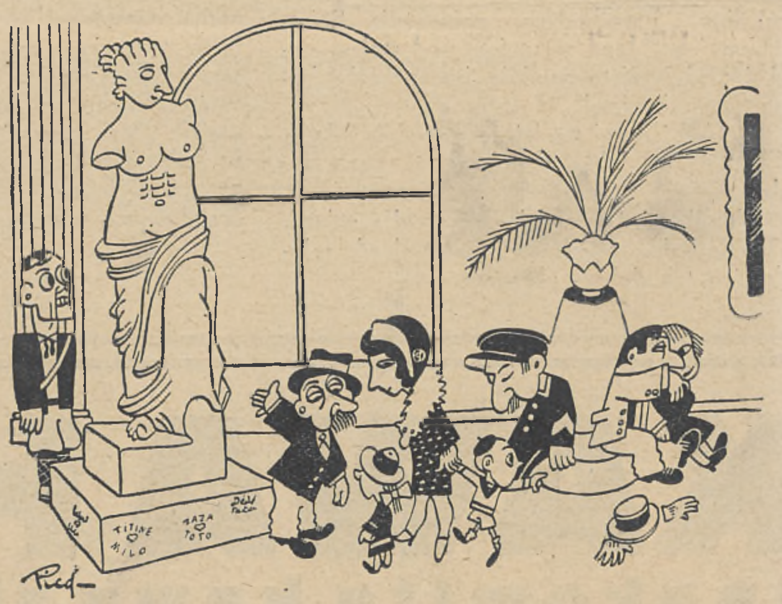
oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 29 października b. r.

NAGRODY.

Za rozwiązanie kzyżówki z N-ru 37 otrzymują nagrody (w wyniku losowania):

Zł. 25 p. Irena Pinczewska, Gandawa, 36, rue du Compromis, Belgja. Książki beletrystyczne pp. H. Bernsztajn z Warszawy, Zygmunt Łabęcki, 3 p. ułanów, Tarnowskie Góry.

Za rozwiązanie metamorfozy p. z Kozłowskiego nagrodę w postaci książki otrzymuje p. Z. Tietz — z Warszawy.



— Widzisz, co robiono w dawnych czasach z dziewczynkami, które pakowały palce do nosa. *(Gringoire).*

Wśród książek

Maurycy Maeterlinck — Ścieżkami wzwyż (Les sentiers dans la montagne) z przedmową St. Wasylewskiego — Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. — Poznań, 1930.

Nowy tom z serji laureatów Nobla jest dziesiątym z kolei utworem znakomitego pisarza, wydanym przez firmę R. Wegnera, która wyrobiła sobie zasłużoną reputację za nader staranną formę, w jaką przyobleka każdą swą książkę. Rzecz ta jest zbiorem szkiców, ogarniających szeroki zakres tematów — przyrodę, zagadnienia o życiu pozagrobowem, wspomnienia z czasów wojny, ba, nawet i grę w Monte Carlo. Wykład tych problematów ujęty jest w bajeczną formę i choć może uczony znalaźćby mógł to lub owo do zarzucenia z punktu widzenia wiedzy, to rzecz sama z powodu tego właśnie, iż autor jej jest przedewszystkiem poetą, stanowi arcydzieło, godne nazwiska wielkiego mistrza, co niegdyś, jak przypomina w przedmowie St. Wasylewski, „był wielu bożyszczem". Oto weźmy chociażby dla przykładu rozdział poświęcony obyczajom pająków, żuków i pluskiew leśnych materjał zaczerpnięty z dzieł znakomitego uczonego Fabre'a i przekonamy się, że o ile bezsprzecznie Fabre jest odkrywcą tych przeżyć podpatrzonych mozolnie ze świata owadów, a zarazem niezwykłym narratorem, to Maeterlinck daleko w tyle pozostawia za sobą entomologa, nadając tym napozór maluczkim i przyziemnym rzeczom plastyczność największych zjawisk przyrody.

„Ścieżkami wzwyż pniemy się za autorem poprzez karty jego pięknej książki, która wywrzeć musi na każdym czytelniku niezatarte wrażenie.

*

Merlin Moore Taylor — Wśród ludożerców — Wydawnictwo Polskie R. Wegnera — Poznań, 1930.

Barwny opis podróży w kraju „nigdy-nigdy", ojczyźnie „głodnych do człowieka" Papuasów, zainteresuje bezwątpienia najszersze sfery czytelników. Peregrynacje odważnej trójki Anglików, którzy przezwyciężając nadludzkie niemal trudności i codzienne niebezpieczeństwa docierają do najdzikszych ostępów, budzą szczery podziw, a także i szacunek, gdyż życie swe narażają nietyle dla próżnej ciekawości lub zamiłowania do przygód, ale z przekonaniem, iż służą „His Majesty" i ojczyźnie.

Książka ozdobiona jest szeregiem arcyciekawych ilustracyj fotograficznych.



ZAPISZ SIĘ
NA CZŁONKA
KOMITETU
FLOTY NARODOWEJ

Zajmujące Czytanki



KAŻDA KSIĄŻECZKA W KOLOROWEJ OKŁADCE

Bardzo ciekawe te powiastki, znane dobrze przed wojną, ukazały się znowu w wydawnictwie M. Arcta. Co miesiąc wyjdą 4 książeczki, po 70 gr. w sprzedaży pojedyńczej; w prenumeracie zaś jeszcze taniej, mianowicie:

po 50 gr. za tomik, jeżeli płatne mies. po zł. 2.—
po 42 gr. za tomik, jeżeli płat. półrocz. po zł. 10.—

Przesyłka bieżących tomików bezpłatnie. tomików z poprzedniego miesiąca po 10 gr.

DO NOWEGO ROKU UKAŻĄ SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMIKI:

1) W pobliżu bieguna
2) Na pustyni Sacharze
3) Wychowaniec gajowego
4) Balonem nad Australją
5) Król puszty węgierskiej
6) W lasach Ameryki
7) Córka osadnika
8) W podziemiach ruin
9) Z wieków średnich
10) Syn rycerza
11) Komedjanci na wsi
12) U ojca chrzestnego

Prospekt z wizerunkami 48 okładek bezpłatnie

M. ARCT
Warszawa
Nowy Świat 35, P. K. O. 180-70
i we wszystkich księgarniach i kioskach Ruchu

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Przegląd filmów

Majestic: „Nasza jest noc", Filharmonja: „Królowa bez korony", „Pan„ i „Capitol": „Wilki i szakale". Casino: „Pocałunek".

„Kino Majestic (przebudowane przez architektów Gelbarda i braci Sigalin) należy obecnie do najładniejszych kinoteatrów Warszawy, nie ustępując niczem kinoteatrom zagranicznym. Wyświetlany jako pierwszy film obraz „Nasza jest noc" należy do dźwiękowców francuskich. Jak w większości dźwiękowców popełniono i tu zasadniczy błąd, produkując przy obsadzie ról, walorami głosowemi, a nie mimicznemi. Dzięki temu aktorzy są filmowo nie ciekawi, pomimo, że posiadają bardzo dobrą dykcję i inteligentnie rozmawiają. Najlepszym jest sam reżyser Roussel ,grający rolę starszego, szlachetnego pana. Poprawna reżyserja, kilka ładnych scen z wyścigów automobilowych — oto mniej więcej wszystko Widz mimowoli tęskni za filmem, w którym będzie mniej słyszał, a więcej widział

Jak bardzo publiczność warszawska stęskniona jest za filmem niemym, za prawdziwym filmem, może służyć przykład owacyjnego przyjęcia orkiestry w kinie „Filharmonja" grającej, przy filmie niemym, a raczej przy filmie zdesynchronizowanym „Królowa bez korony". Trzeba dodać, że owacja ta zamieniła się w głośny protest, przy wyświetlaniu nadprogramu dźwiękowego. „Królowa bez korony" jest filmem bardzo ładnym, z Corinną Griffith w roli głównej, w roli lady Hamilton, której to historję pokazuje. Film nie męczy, nie denerwuje, przypomina dawne, dobre czasy, gdy pójście do kina było przyjemnością a nie umęczeniem jak obecnie.

To samo mniej więcej można powiedzieć o „Pocałunku". Film jest prawie niemy i to jest jedną z większych jego zalet. Po za tem na plan pierwszy wysuwa się Greta Garbo, jak zwykle ciekawa, pociągająca i fascynująca.

Film „Wilki i szakale" jest obrazem wojennym. W całości nuży nieco brakiem akcji i treści. Posiada jednak kilka bardzo dobrych scen morskich.

Jedz tylko najlepsze norweskie
wędzone śledzie
(Kippered herrings)
sardynki
Żądaj zawsze Borgena Branda pierwszorzędnych wyrobów.
Norweska Spółka Handlowa, Warszawa.
NORWEGJA

CHROŃCIE DZIECI

oraz dorosłych przed chorobami gardła, anginą i grypą. Właśnie teraz w porze jesiennej, gdy temperatura i pogoda ulegają stałym zmianom, należy zwracać szczególnie baczną uwagę na zdrowie. Każdy, kto bierze udział w zebraniach, odwiedza teatry lub kina, podróżuje, lub wogóle przebywa w lokalu odwiedzanym jednocześnie przez wiele osób, jak się to dzieje zwłaszcza z dziećmi szkolnemi, powinien od czasu do czasu zażyć pastylkę Panflaviny. Pastylki te, wyróżniające się dobrym czekoladowym smakiem, należy powoli przeżuwać w ustach. Ochronią one nas niezawodnie przed niebezpieczeństwem zakażenia chorobami gardła i grypą. Pastylki Panflavin są do nabycia we wszystkich aptekach.

Witaminy! oto hasło naszych dni!

Są one zawarte w wysokim stopniu w śledziach norwegskich (Kippered Herrings), w smaku zadawalających najwybredniejsze podniebienie. Jako danie smakowite i uzdrawiające jednocześnie, powinny puszki śledzi norwegskich (Kippered Herrings) znajdować się zawsze w spiżarni dobrej gospodyni, przyczem wybawią ją z kłopotu, gdy niespodziewanie nadejdą goście. Nadzwyczajnie pożywne, wskutek wielkiej zawartości jodu.



DE NORSKIE HERMETRKKFABRIKKERS
LANDSFORENING, STAVANGER
Do nabycia we wszystkich sklepach kolonjalnych.



Zwycięsca biegu Więcek w akcji. (Fot. Walter).



Więcek i Stefański idą „łeb w łeb" na pierwszym etapie. (Fot. Walter).

Wyścig kolarski do Morza Polskiego

W dniach 1—5 października odbył się na liczącej 937 klm. trasie Warszawa — Grudziądz — Gdynia — Toruń — Warszawa wielki wyścig kolarski, mający stanowić poza swem znaczeniem czysto sportowem, niejako odpowiedź na niemieckie zakusy rewizjonistyczne, wyrażone jaskrawie w znanem przemówieniu ministra Treviranusa.

Zdawałoby się, na pierwszy rzut oka, że między zagadnieniem politycznem a raidem cyklistów nic wspólnego być nie może. A jednak — wyścig do Morza Polskiego stanowił odpowiedź pierwszorzędną, nie gorszą, być może, od wszelakich not i wieców.

Bo oto, zademonstrowano naszym sąsiadom, pokazano ludności dzielnic zagrożonych, że młodzież polska jest sprawna fizycznie i silna duchem, że kipi energją i ambicją, że zdolna jest do realizowania niezwykłych czasem rekordów woli.

Rozumiejąc, że chodzi tu o udział w imprezie nietylko sportowej, młodzi kolarze dali z siebie wszystko, co mogli. Takiego zacięcia, takiej werwy, takiego zaparcia się siebie nie widziano w Polsce chyba nigdy.

Wspaniały przykład dał mistrz Polski, Józef Stefański. W 60 klm od Warszawy był ofiarą ciężkiego upadku i rozbił dotkliwie łokieć i kolano. Mimo to jechał dalej, i nawet pierwszy etap wygrał. Przyszedł w czołowej grupie i do Gdyni, a na trzecim etapie, po drugim upadku, choć cały obolały, choć jedną tylko ręką, mógł trzymać kierownik i kolana ugiąć nie był w stanie — jechał jeszcze i wycofał się dopiero na skutek absolutnej niemożności posuwania się naprzód, po przebyciu 600 klm.

Ale to był mistrz Polski. Jednak inni, mniej sławni, mniejszą moralną odpowiedzialnością obarczeni — czynili tak samo. Taki Kaczyński z Mińska Mazowieckiego, przedostatni w klasyfikacji ogólnej, 500 kilometrów przebył z głową, wyglądającą na reklamę fabryki plastrów i bandaży.



Olecki z Legji przybył drugi z kolei. (Fot. Walter).

Kto widział, na trasie tego wyścigu, wyczyny pierwszych i wyczyny ostatnich, zdał sobie tam sprawę, że przysięga, złożona na molo nad Bałtykiem, nie była czczym frazesem, i że wszyscy ci chłopcy, reprezentanci Polski jutrzejszej, raczej trupem padną, niż oddadzą wrogowi piędź ziemi ojczystej. I że niedarmo zaczerpnęli wodę z Bałtyku do urny, z pocisku armatniego zrobionej.

Start wyścigu odbył się 1 października o 7-ej rano, na placu Marszałka Piłsudskiego. Wyruszyło z Warszawy 75 kolarzy, reprezentujących stolicę, Kraków, Lwów, Katowice, Łódź, Lublin, Toruń, Grudziądz, Bydgoszcz, Częstochowę, Brześć, Mińsk Mazowiecki, Pakość, Pruszków etc. etc.

Po jednodniowym pobycie w Gdyni, kolarze, których zostało już tylko 50, wypuścili się w drogę do Torunia, odległego o całe 264 klm. Tuż po starcie uciekł raptownie Więcek, idąc w tempie 40 klm. na godzinę. Za Kościerzyną dopadli go Wasilewski i Olecki, podczas gdy pozostali zostali się daleko w tyle, a prawie na ostatniem miejscu Stefański, trzymający się w siodle tylko nadludzkim wysiłkiem woli. W Grudziądzu, Więcek i Wasilewski odsadzili Oleckiego, a od Chełmży począwszy Więcek okazał się już sam, i przybył na metę pierwszy w świetnym czasie 9 godzin 10 minut, co daje przeciętną szybkość prawie 30 klm. na godzinę. Drugi był Wasilewski, trzeci Olecki, czwarty Wlokas. Stefański wycofał się w Chełmży.

Ostatni etap Toruń—Warszawa (234 klm.) okazał się najcięższy, wobec złych dróg i ulewnego deszczu. Za Włocławkiem na czele ukazali się Więcek, Wasilewski i Wlokas ze Śląska, ścigani zawzięcie przez Oleckiego. Ten ostatni dopadł i minął Wasilewskiego i Wlokasa, lecz nie mógł przeszkodzić zwycięzcy pierwszego biegu dookoła Polski, pierwszemu wjechać na tor Dynasowski, gdzie mimo okropnej pogody od dwu godzin czekały tysiączne tłumy. Drugie miejsce w etapie zajął Olecki, trzecie Wasilewski, czwarte Wlokas.

W klasyfikacji ostatecznej pierwsze miejsce zajął Feliks Więcek (Polonja, Bydgoszcz), drugie Wiktor Olecki (Legja, Warszawa), trzecie Stanisław Wasilewski (W. T. C.). Wielką nagrodę przechodnią „Łucznika" zdobyła Polonja Bydgoska.

W. Junosza.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

***Prenumerata** krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. **Prenumerata** zagraniczna: kwartalnie 8 zł, półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35 Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.*

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1 50, układ 3-szpaltowy

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska" Warszawa Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504 46.